

na

WINNICY

ISSN 2544-2880

Wszystkich zielonogórskich ulic, w tym dróg publicznych i wewnętrznych, jest 1120. Gdyby je połączyć, ciągnęłyby się przez 700 km. Najdłuższa jest Trasa Północna, 8,8 km, powstała w 1995 r. jako część obwodnicy miasta. W 2023 r. została oddana do użytku obwodnica południowa, licząca 12,6 km. Obwodnica zachodnia o długości 8,4 km ma powstać do 2028 r. Jeżeli nic się nie zmieni, to będzie omijała Przylep i Łężycę. Odrę ma przekraczać po nowym moście w Pomorsku. Z trasą S3 spotka się pod Sulechowem. Najszersze ulice to: Zjednoczenia, Trasa Północna i Wojska Polskiego. Najkrótszą jest znajdująca się w centrum Krawiecka. Ulic Kościelnych jest aż siedem. Tyle samo Sosnowych i Leśnych. Sześć Lipowych, cztery Kasztanowe, po trzy Podgórne i Szkolne, dwie Lwowskie. Tak jest od 2015 r., kiedy miasto wchłonęło gminę wiejską. W wyniku przebudowy przestały istnieć takie ulice jak Buraczana, Folwarczna, Kapitańska, Łowiecka, Probostwo, Przy Ujeżdżalni, Pułaskiego, Srebrna Góra. Zmiany nazw wiązały się z wydarzeniami politycznymi. W 1948 r. Pionierska została gen. Karola Świerczewskiego, w 1956 r. Generalissimusa J. Stalina – al. Niepodległości. Od 1991 r. Bolesława Bieruta jest Zachodnią, Małgorzaty Fornalskiej – Bankową, Mariana Buczka – Klementowskich, Walki Młodych – Dworcową, Janka Krasickiego – Ignacego Krasickiego, gen. Karola Świerczewskiego – Kupiecką, Pawła Findera – Armii Krajowej, gen. Franciszka Józwiaka – Monte Cassino, Karola Marksa – Pod Filarami, Hanki Sawickiej – gen. Leopolda Okulickiego, Jakuba Szeli – Truskawkową, Adolfa Warskiego – dr. Pieniężnego, gen. Aleksandra Waszkiewicza – Rydza-Śmigłego, Feliksa Dzierżyńskiego – Władysława IV, gen. Aleksandra Zawadzkiego – Tadeusza Zawadzkiego „Zośki”, Franciszka Zubrzyckiego – Cyryla i Metodego. Na pl. Lenina wrócił pl. Pocztowy, na pl. Bohaterów Stalingradu – Stary Rynek. Kolejna zmiana była w 2017 r.: Armii Ludowej została Władysława Jagiełły, II Armii – Żołnierzy 2 Armii (przez trzy miesiące – Ofiar



Kolaż Izabela Sak

Komunizmu), Przylep-22 Lipca – Przylep-Solidarności i Przylep-9 Maja – Przylep-89 Maja.

W ciągu miejskich ulic jest 35 rond. Pierwsze, obecnie PCK, powstało w 1976 r. w miejscu skrzyżowania al. Wojska Polskiego, al. Zjednoczenia i ul. Dąbrówki. Co najmniej połowa rond upamiętnia regionalnych bohaterów, wśród nich żużlowca Andrzeja Huszczy.

W mieście jest 14 placów z nazwami. Za najstarszy można uznać pl. Bohaterów. Wikipedia wymienia historyczny pl. Drzewny, który był u zbiegu obecnych ul. Ciesielskiej i Sowińskiego. Historycy pewnie uznają, że jeszcze starszy jest pl. Słowiański. Najmłodszy jest pl. Teatralny.

Przez miasto przechodzi siedem dróg krajowych: S3, nr 27 (z Przewozu), nr 32 (z Sękowic), nr 280 (do Brodów), nr 281 (do Pomorska), nr 282 (z Wilkanowa) i nr 283 (do Rejowa). Przez Zieloną Górę biegnie linia kolejowa nr 273 z Wrocławia do Szczecina i nr 370 do Żar.

Miejski Zakład Komunikacji obsługuje 24 linie dzienne i cztery nocne. Najstarsza, 1, łącząca Chynów z Jędrzychowem, powstała w 1954 r. Dawniej trasa prowadziła Sulechowską, Niepodległości, Żeromskiego, przez pl. Bohaterów Stalingradu (Stary Rynek), Sikorskiego, Kożuchowską. Obecnie autobusy linii 1 jeżdżą przez centrum przesiadkowe przy dworcu PKP Zielona Góra Główna, pl. Piłsudskiego, Wrocławską, Sienkiewicza, Kożuchowską.



Ul. Bolesława Chrobrego 5



Ul. Wrocławska 12

Stare jak nowe



Al. Niepodległości 35



Ul. Dworcowa 33



Ul. Mikołaja Reja 10



Ul. Mikołaja Reja 6

fot. Alicja Błażyńska

W NUMERZE:

<i>Blisko centrum</i>	
Stare jak nowe	2
<i>Od redakcji</i>	
Kompaktowe miasto	3
<i>Nad Złotą Łączką</i>	
Ludność szybko się integrowała	4-5
<i>Niedaleko ratusza</i>	
Wagony i lokomotywy z Beuchelta i Zastalu na żelaznych drogach całego świata	6-7
Kolejka, która woziła ludzi, gęsi, buraki, węgiel	8-11
Stary dworzec	11
Skansen na szynach	12
Po naszych torach pomykały srebrne strzały	13-15
Samolotem bliżej, prędzej i wygodniej	16-17
Marzenie o szybkiej kolei aglomeracyjnej	17-18
<i>Adres</i>	
O kosztach na drogi i place wiedzą wszystko	19
Plac Pocztowy 17	20
<i>Proza i poezje</i>	
Babcia w błękitcie	21-24
W drodze do FZ, Uliczki	24
Cuda i obłuda; Potrzeba nieba; Gadka o kwiatkach; Leżę, bo tworzę; Era bohatera	25
<i>Recenzje i omówienia</i>	
Wesoło w anielskim barze	26
Detaliczne okruchy	27
To jest bardzo dobra powieść	28
O czarownicach i fabryce, których już nie ma	29
<i>Portrety</i>	
Winiarz z Kresów Wschodnich	30
Nie próbuję udowodnić swojej ważności	31-32
To rewelacyjne miejsce o ogromnym potencjale	33-34
W naszym imieniu	34
<i>Jak zostałam zielonogórzanką</i>	
Mam dwie małe ojczyzny	35-36
<i>Konkursy i kronika</i>	
Olimpiada satyryków	37
Od wiosny do jesieni	37-38
<i>W pracowni artystki</i>	
Spod pędzla Izabeli Sak	39
<i>Gdzie indziej</i>	
Ta fundacja przychodzi z pomocą i daje nadzieję	40

Kompaktowe miasto

Gdyby nie przyłączenie gminy wiejskiej do miasta, to obecnie Zielona Góra miałaby dużo mniej niż 119 tys. mieszkańców, a gmina wiejska dużo więcej niż 20 tys. Dlatego, że miejscy zielonogórzanie by się wyprowadzili do gminy wiejskiej. W wyniku przyłączenia Zielona Góra nie tylko odzyskała podatników i zdobyła tereny budowlane, lecz i znalazła się na 24 miejscu wśród największych polskich miast. Badacze twierdzą, że jednak za kilkanaście lat Zielona Góra skurczy się ze 140 tys. mieszkańców do 130 tys. nie tylko dlatego, że młodzi wyjadą, lecz i że będzie umierało coraz więcej starszych. Wyłączając metropolie, taka sytuacja będzie we wszystkich dużych ośrodkach. Zresztą od 1989 r. występuje ona w tych miastach, które straciły rangę wojewódzką. Gdy Koszalin przestał być stolicą województwa, liczba jego mieszkańców zmniejszyła się z 112 tys. do 98 tys. Jeleniej Górze ubyło 18 tys. dusz, Legnicy – 17 tys., Słupskowi – 16 tys., Bielsku-Białej – 13 tys. Ze 137 tys. wałbrzyszan pozostało 101 tys. Prawie 260-tysięczna Częstochowa pod koniec XX wieku ma obecnie niewiele ponad 200 tys. mieszkańców. Współstolica regionu lubuskiego, czyli Gorzów skurczył się ze 126 tys. do 116 tys. mieszkańców. Zielona Góra utrzymuje się w siódemce tych dużych miast, w których przybyło ludzi.

Nie mam wątpliwości, że Zielona Góra jest miastem kompaktowym, to znaczy takim, gdzie, jak piszą uczeni, większość niezbędnych miejsc jest w zasięgu ręki. Z jednego krańca na drugi, czyli na przykład z Ługowa do stacji PKP Zielona Góra – Przylep można dojechać autobusem MZK w niecałą godzinę, a samochodem przed piętnastą jeszcze szybciej. Jest duży szpital, a nawet dwa, bo i poliklinika. Są muzea, galerie, teatry, filharmonia. Są kompozytorzy, pisarze, malarze. Odbywają się festiwale, koncerty, spotkania z ciekawymi ludźmi. Jest biskupstwo. Wprawdzie drużyna futbolowa to zaledwie trzecia liga, jest za to ekstraklasowy żużel i mam nadzieję pozostanie ekstraklasowa koszykówka, tenisiści wrócą do ekstraklasy. Brakuje opery i baletu, ale jest instytucja uważająca się za teatr muzyczny. Jest uniwersytet kształcący lekarzy, prawników, nauczycieli, inżynierów. Jest lotnisko pasażerskie i sportowe. Po połączeniu w 2015 r. nikt nie zaprzeczy, że Zielona Góra sięga Odry.

Wszystkie miasta starzeją się, to znaczy przybywa emerytów, a rodzi się za mało dzieci. Do tych wielkich uciekają młodzi na studia i w nich zostają. Zielona Góra już odczuwa nie tyle skutki powolnego ubytku, co nieprzybywanie młodzieży na przykład z Gubina, Sulechowa, Międzyrzecza, co widać choćby na uniwersytecie. Niebawem pewnie dojdzie do tego, że bez Ukraińców, Białorusinów, Hindusów, czarnoskórych i skośnookich firmy produkcyjne nie będą sobie radziły. Starzenie się konsumentów prowadzi do zmian w jadłospisach restauracji i kawiarni. Zaleca się zakładanie parków z ławkami. Między innymi to podpowiadają uczeni.

Czy nowe władze miasta (prezydent i radni) wezmą pod uwagę efekty ich badań? Z moich obserwacji wynika, że poprzedni samorząd postępował według najprymitywniejszej zasady: nikt nam nie będzie mówił, co mamy robić. Kto ma władzę, ten wie najlepiej. To i wyborcy mieli tego dość.

Alfred Siatecki



Redagują:
Alicja Błażyńska, Alina Polak-Woźniak, Alfred Siatecki – redaktor naczelny.
Projekt winiety – Wacław Serdeczny. Projekt layoutu, skład i łamanie – Emilia Cwilińska. Druk – Oficyna Wydawnicza UZ
Numer zamknięto 15 października 2024 r.

Adres do korespondencji
65-093 Zielona Góra, ul. Lisia 37, e-mail: tmzg-winnica@o2.pl, www.tmzg.org.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo skrótnego i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku oraz prawo nieodpłatnego publikowania listów. Redakcja zastrzega sobie również możliwość wykorzystania publikowanych materiałów na stronie internetowej TMZG „W”. Za treść zamieszczonych reklam, ogłoszeń, listów i materiałów sponzorowanych redakcja nie odpowiada.



WYDAWNICTWO
MŁODOŚCI
ZIELONE GÓRY

ISBN 2744-29111

Ludność szybko się integrowała

ROZMOWA Z DR. HAB. ROBERTEM SKOBELSKIM Z INSTYTUTU HISTORII UNIWERSYTETU ZIELONOGÓRSKIEGO

– Jak wyglądały ostatnie miesiące drugiej wojny światowej w Zielonej Górze, czyli niemieckim wówczas Grünbergu?

– Wśród mieszkańców już pod koniec 1944 roku panowało ogromne napięcie spotęgowane strachem przed sowieckimi żołnierzami. Miasto ogarnęła psychoza wojenna, na przykład dzieci nie chodziły do szkół. Zielona Góra miała jednak dużo szczęścia, bo w przeciwieństwie do innych miast z naszego regionu, ominęły ją poważne zniszczenia wojenne. Nie leżała w ważnym punkcie strategicznym, choć trzeba zaznaczyć, że Niemcy szykowali się do obrony miasta – wzniesiono na przykład barykady na drogach wylotowych, a na Wzgórzu Braniborskim ustawiono dwa karabiny maszynowe... Armia Czerwona serią manewrów oskrzydliła Zieloną Górę, obrońcy wymaszerowali, a w mieście została tylko ludność cywilna.

– Często mówi się o księdzu Georgu Gottwaldzie, który uratował Zieloną Górę przed zrujnowaniem.

– W literaturze wspomina się, że jego bohaterstwo powstrzymało Rosjan, którzy planowali ostrzał miasta, ale z niego zrezygnowali. Gottwald poinformował, że nie ma w nim wojska ani nie będzie bronione, przewlekłe walki nie były więc prowadzone. Doszło jednak do pewnych zniszczeń. W przeddzień wejścia Armii Czerwonej do Zielonej Góry specjalny oddział SS wysadził w samym mieście, jak i w okolicy różne urządzenia kolejowe, wiadukty, mosty, gazownię, wodociąg, elektrownię. Do końca maja 1945 nie było ani prądu, ani wody.

– Jak wyglądało wejście Sowietów do Zielonej Góry?

– Było to 14 lutego 1945 roku. Weszli prawdopodobnie we wczesnych godzinach popołudniowych, w okolicach czternastej. Nie napotkali żadnego oporu, choć zostało tu cztery tysiące Niemców. Większość się wcześniej ewakuowała, w styczniu, na początku lutego. W przededniu wojny, przypomnijmy, miasto liczyło 26 tysięcy mieszkańców. Po kilku tygodniach, w marcu i kwietniu 1945, Niemców przybyło – wrócili ci, którzy wcześniej uciekli, ale nie zdążyli przedostać się za Odrę i Nysę Łużycką. Ludność miasta zwiększyła się wówczas do siedmiu tysięcy.

– Jak ta ludność była traktowana przez wojska sowieckie?

– Było to dla nich straszne... Za przyzwoleniem dowódców czerwoarmiści wyprawiali najokropniejsze rzeczy, które znamy z także i z historii innych miast. Dopiero po tygodniu ograniczono swobodę ich działania, wprowadzając patrole uliczne czy zakaz wstępu do prywatnych mieszkań. Jednak do ekscesów dochodziło nadal, także z tego powodu, że żołnierze przejęli spore zapasy różnych trunków – win, likierów, koniaków – produkowanych przez tutejsze zakłady, jak Grempler & Co. W mieście znajdowały się też magazyny markowych alkoholi, które wojska niemieckie zrabowały na południu Europy. Te napitki wzmagaly agresję rosyjskich wojsaków.



Dr hab. Robert Skobelski: – Miasto było po prostu piękne, gdy ludzie przybywali tu wiosną 1945 i 1946 roku – tonęło w zieleni

– Co się działo do czasu, kiedy powstała w mieście polska administracja?

– Trzeba pamiętać, że Zielona Góra była miastem garnizonowym, przyfrontowym. Ofensywa berlińska ruszyła dopiero 16 kwietnia. Przez te dwa miesiące, od 14 lutego, w mieście funkcjonowały cztery szpitale polowe, gdzie leczono czerwoarmistów. Pierwszy sowiecki komendant, pochodzący z Kijowa major Demian Wiechoturów, zginął w marcu w potyczce w lesie koło Ochli z niedobitkami oddziałów niemieckich. Sowietów chowano na tymczasowych cmentarzach, jednym z nich był dzisiejszy plac Bohaterów. W mieście rezydowali też dowódcy oddziałów specjalnych, NKWD oraz tzw. trofejnych, które zajmowały się demontażem i wywózką wyposażenia przemysłowego. Zastał i wiele innych lokalnych fabryk zostało pozbawionych większości urządzeń. Rabowano zresztą wszystko co się dało – meble, fortepiany, wszelki dobytek ruchomy.

– Rosjanie „wyzwalali” ludność z rowerów, odbiorników radiowych i zegarków...

– Rzeczywiście, w czasach PRL mówiono, że Zielona Góra została wyzwolona. Jednak to było pojęcie propagandowe

i nie miało wiele wspólnego z rzeczywistością... Wracając do poprzedniego pytania, Sowieci powołali w mieście zarząd z przedwojennym niemieckim komunistą Karlem Laubem na czele. Burmistrz podlegał bezpośrednio komendantowi, codziennie musiał mu meldować, co się dzieje w mieście. Laube został wysiedlony w pierwszej grupie, w czerwcu. Pierwsi Polacy pojawili się tu już w lutym. Byli to kolejarze, pocztowcy, urzędnicy, nauczyciele, ale i milicjanci czy funkcjonariusze bezpieczeństwa. Wielkopoleanie w głównej mierze, bo dla nich pas przygraniczny to nie był jakiś dziki zachód, tylko tereny dobrze znane. Później zaczęli napływać przesiedleńcy ze wschodu. 8 maja, jako reprezentacja władz polskich, do Zielonej Góry przybyła grupa operacyjna Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów z przewodniczącym inżynierem Kazimierzem Paszyńskim. 6 czerwca powołano na burmistrza Tomasza Sobkowiaka, jego zastępcą został Klemens Mikulski, a sekretarzem Czesław Wielgosz.

– *Czym było spowodowane to kilkumiesięczne oczekiwanie na administrację polską w Zielonej Górze?*

– Te kilka miesięcy to wcale nie tak długo, biorąc pod uwagę sytuację panującą na terenach Ziemi Odzyskanych. Po pierwsze – niewiadoma, czy aby z całą pewnością tereny te wejdą w skład ziem polskich; poczucie tymczasowości u ludzi, zresztą, cały czas trwały przemieszczenia ludności. Ciągłe wybuchały potyczki między żołnierzami niemieckimi i sowieckimi. Problemem były też zniszczenia wojenne, którymi trzeba było się zająć jak najszybciej i w takie miejsca udawali się członkowie władz. Brak funduszy na pensje i urządzenie pomieszczeń dla urzędników oraz panujący dookoła Zielonej Góry i w okolicach chaos – te czynniki znacząco spowalniały umocowanie się tu polskiej administracji.

– *Polacy łatwo zadomowili się w poniemieckim mieście?*

– Zielona Góra bardzo przyciągała osadników, bowiem była mało zniszczona, szybko odbudowano urzędnice komunalne, między innymi ruszyła elektrownia, zaopatrywana w węgiel z kopalni w pobliskim Słonem. Miasto było też po prostu piękne, gdy ludzie przybywali tu wiosną 1945 i 1946 roku – tonęło w zieleni. Kolorowe ogrody i kwiaty kamuflowały też oczywiście pewne niedostatki... Było jednak tak przyciągające, że jako jedno z pierwszych miast na Ziemiach Odzyskanych już w 1947 roku przekroczyło stan zaludnienia sprzed początku wojny, a więc 26 tysięcy.

– *No tak, przecież wiele miejscowości zostało zrujnowanych i doszczętnie zniszczonych, jak Głogów, Wrocław, Kostrzyn, a Zielona Góra pozostała miastem winnic, sadów i ogrodów!*

– Tak, liczba mieszkańców przyrastała nieomal geometrycznie – w grudniu 1950 roku było ich już 31 tysięcy. Z drugiej strony nic nie budowano, a wręcz przeciwnie, w pierwszych powojennych latach ubyło półtora tysiąca izb, z tego powodu Zielona Góra miała większe zagęszczenie mieszkańców niż przemysłowy Gorzów. Dopiero w latach 1952-1955 wybudowano pierwsze osiedle na dwa tysiące osób przy dzisiejszej ulicy Bolesława Chrobrego, ale to i tak była kropla w morzu potrzeb. Podobno pomagali je budować jeńcy niemieccy, ale ile w tym prawdy...?

– *Od lata 1945 roku trwały wysiedlenia Niemców...*

– Pierwsze, „dzikie” wysiedlenia, miały miejsce jeszcze pod koniec czerwca, przed formalną zgodą mocarstw w Poczdamie. Niemców wypędzono z 12 nadgranicznych powiatów i od tego momentu przewagę miała już ludność polska – z Wielkopolski i Kresów. Mieszkała tu też tzw. polonia grünbberska, kilkuset autochtonów, m.in. córka Kazimierza Lisowskiego; przyjechała grupa warszawiaków, którzy nie mieli po co wracać do zrujnowanej stolicy. Powstała mieszanka wszystkich grup osadników, ale nie powodowało to trudności we wspólnej egzystencji. Ludność szybko się integrowała. Przyrost naturalny był w pasie zachodnim najwyższy w Europie, bo przybywali tu ludzie młodzi. W 1950 roku w Zielonej Górze urodziło się ponad 1300 dzieci.

– *A pierwszym urodzonym w polskiej Zielonej Górze maluszką był?*

– Stanisław Prałat. Przyszedł na świat 18 lipca. Przez ponad 50 lat pracował w browarze, był też prezesem Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry. Pod koniec 1945 roku urodziła się tutaj Maryla Rodowicz. Jej ojciec został tu skierowany jako nauczyciel gimnazjalny, ale wkrótce rodzina wyjechała.

– *Mieszkali w przepięknym mieszkaniu w kamienicy przy dzisiejszej ulicy Bankowej.*

– Chyba wtedy jeszcze władze administracyjne nie zagęszczały obłożenia mieszkań. Właściwie to zarząd miejski z burmistrzem Sobkowiakiem miał niełatwe zadanie. Należało skompletować ekipę urzędników, zapewnić osadnikom bezpieczeństwo, dach nad głową, wyżywienie, a przez pierwsze tygodnie nie było na to żadnych pieniędzy... Oni też pracowali społecznie... Był przykaz, żeby jak najszybciej Zieloną Górę zrepolonizować.

– *Dobierano nazwy, np. ulic, związane ze średniowieczną historią ziem polskich, ale i kojarzące się z niepodległością...*

– Polonizować zaczęto już w czerwcu i lipcu 1945, usuwając niemieckie szyldy i napisy.

– *Czym się zajmowali osadnicy?*

– Najszybciej ruszyły browar i zakłady winiarskie, bo mimo szabru dokonanego przez Armię Czerwoną zostało nieco półfabrykatów, np. moszcz winny. Już w 1946 roku pracować zaczął Zastal jako Wagmo, później Polska Wełna, co prawda na maszynach sprzed pierwszej wojny, ale praca była. Dynamicznie rozwijała się też tzw. inicjatywa prywatna, zanim nie ukroćcili jej komuniści. Rzemiosło bardzo ucierpiało, nie opłacało się albo nie można było prowadzić takiej działalności, więc rzemieślnicy wyjeżdżali.

– *Działały też bary, restauracje i kawiarnie, np. Widok, Centralna, Ratuszowa... od lat 70. do dziś działa kawiarnia Niger, kultowa już...*

– I szybko wrócono do organizowania świąt Winobrania, które były popularne w przedwojennych Zaleszczykach i upowszechnione tutaj zostały przez Grzegorza Zarugiewicza. W dzisiejszej Zielonej Górze dzięki staraniom wielkiej grupy społeczników pamięta się zarówno o tradycjach przedwojennych, jak i współczesnym dorobku mieszkańców naszego miasta.

Alina Polak-Woźniak

Izabela Korniluk

Wagony i lokomotywy z Beuchelta i Zastalu na żelaznych drogach całego świata

W Zielonej Górze istniały dwa przedsiębiorstwa, które produkowały tabor kolejowy. W przedwojennym mieście – Fabryka Budowy Mostów oraz Konstrukcji Stalowych Beuchelt i Co. Zielona Góra na Śląsku (Fabrik für Brückenbau und Eisenkonstruktionen Beuchelt u. Co. Grünberg in Schlesien) założona w 1876 roku przez Georga Beuchelta. Drugim były Zaodrzańskie Zakłady Przemysłu Metalowego „Zastal”, które po 1945 r. przejęły park maszynowy po niemieckim poprzedniku.

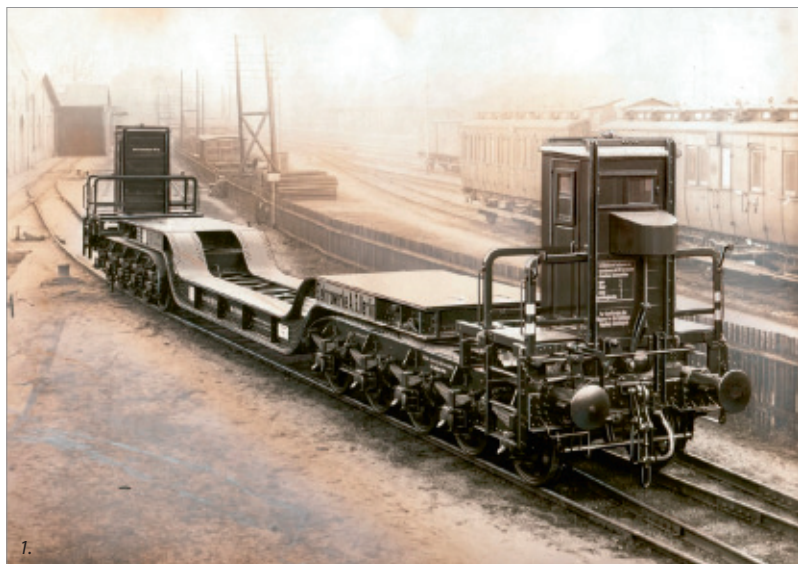
Firma niemiecka nie od razu produkowała wagony. Przez pierwsze 10 lat swojego istnienia zakład Georga Beuchelta skupiał się na produkcji mostów i konstrukcji żelaznych, dopiero w 1886 r. zdecydowano o produkcji wagonów kolejowych. Związane to było przede wszystkim ze stale rosnącą koniunkturą sprzyjającą tej branży na rynku wewnętrznym, jak i za granicą. Niemalże znaczenie miało również wsparcie państwa niemieckiego.

Czasy niemieckie

W fabryce produkowano różnorodny zestaw wagonów, począwszy od towarowych odkrytych i zakrytych, osobowych wszystkich klas, w tym pulmanowskich (kolejowy wagon pasażerski mający długi korytarz, z którego prowadzą wejścia do przedziałów), restauracyjnych, pocztowych, bagażowych, a także cystern czy chłodni. Asortyment ten trafiał nie tylko do odbiorców krajowych w Niemczech, ale także do Rosji, bo wagony z firmy G. Beuchelta przystosowane były do linii szerokotorowych, oraz do Brazylii, Toga, Serbii, Tanganiki, Danii, Włoch, Austrii, Turcji i niemieckich kolonii w Afryce.

Wagony pasażerskie firmy G. Beuchelta były przystosowane dla wszystkich rodzajów klas. Produkowano także luksusowe egzemplarze z salonem i sypialnią oraz częścią jadalną przeznaczoną dla 12 osób. Taki wagon miał specjalne wyposażenie, dostosowane do potrzeb odbiorcy, na które składały się: serwis talerzowy z 80 sztuk (12 talerzy głębokich, 12 talerzy płaskich, 12 talerzy średnich, 12 kompotówek, 2 okrągłe miski na warzywa: płaska i głęboka; 5 owalnych misek do pieczenia: wielka, 2 średnie, 2 małe; 2 miski na przystawki, 2 miski na sałaty, 2 sosjerki, 2 misy na warzywa, solniczka, musztardówka z łyżeczką); naczynia stołowe składające się z 16 części (dzbanek kawowy, dzbanek herbaciany, dzbanuszek na śmietankę, cukierniczka, 12 filiżanek). asortyment szkła na: wino czerwone, wino białe, wino madera, likier, wodę, piwo, sok, lemoniadę; naczynia do kuchni: 6 różnych półmisek, 6 zapasowych beczulek, 6 zbiorników z ziołami w szafeczce, wałek do makaronu, 2 pojemniki na stół i na mąkę, ocet i butelka oleju, deska do krojenia, 2 duże tace z drewnianym brzegiem, 5 desek do ciasta różnej wielkości, sito, zaparzacze do kawy, tarka, lejek emaliowany, sitko do herbaty, trzepaczka do ubijania piany, kłosz na ser z talerzem, kłosz na masło z talerzem warząchem, grabki stołowe, 12 serwetniczek, 12 szklanek do herbaty z niklowanymi podstawkami, 2 noże do masła i sera, 3 rogowe łyżki do kompotu, 3 pudełka wykałaczek, korkociąg, tuzin niklowanych noży i widelców wielkich, tuzin niklowanych noży i widelców średnich, tuzin dużych łyżek, tuzin

fot. Archiwum Muzeum Ziemi Lubuskiej



Wagony wyprodukowane w zakładzie Georga Beuchelta:
1. dziesięcioosiowy przeznaczony do przewożenia ładunków o wadzie 80 ton
2. osobowy drugiej i trzeciej klasy

łyżeczek do herbaty, chochelka do zupy, łyżka do warzyw, 6 emaliowanych garnków różnej wielkości, 2 emaliowane wiaderka, 2 wanny do spłukiwania, 2 brytfanny do pieczenia, 2 kubelki na lód, 4 podstawki butelkowe 12 podstawek pod szkło, 2 miski do pieczenia, noże do kraniania oraz obrus z 12 serwetkami, patera z 12 talerzami, stojak do owoców z 12 nożykami do owoców, 6 ręczników kuchennych, 6 ręczników do szkła, 6 ręczników do rąk, pościel i koce.

O wielkiej potędze na rynku produkcji wagonów firmy G. Beuchelta może świadczyć fakt, iż na przestrzeni 40 lat od 1886 do 1926 r. wyprodukowano 24 494 wagony, z tego 20 920 stanowiły wagony towarowe. Podczas pierwszej wojny światowej i po jej zakończeniu liczba zamówień zmalała, ale produkcja nadal trwała. Wojna spowodowała spadek zamówień krajowych i brak zleceń zagranicznych. Około 700 pracowników zostało powołanych do wojska; niedobór pracowników starano się uzupełniać zatrudnianiem młodocianych kobiet i jeńców wojennych. Firma starała się dostosowywać do potrzeb wojskowych poprzez między innymi produkcję wagonów do przewozu amunicji oraz specjalnych mostów wykonywanych na potrzeby przepraw armii przez rzeki.

Czasy polskie

Produkcja wagonów w zakładach G. Beuchelta trwała nieprzerwanie do końca drugiej wojny światowej. Po jej zakończeniu zakład został przejęty przez polską administrację, która już w listopadzie 1945 r. uruchomiła produkcję wagonów. Zastal skupiał się od samego początku, w odróżnieniu od firmy G. Beuchelta, w głównej mierze na produkcji wagonów towarowych. Produkowano także mosty oraz konstrukcje stalowe (w początkowej fazie działalności przedsiębiorstwa) lecz w mniejszej skali. Do końca 1946 r. zakład dostarczył Polskim Kolejom Państwowym 600 węglarek. W niedługim czasie wyprodukowano 63 cysterny i 170 ton konstrukcji stalowych, na które składały się przede wszystkim konstrukcje hal fabrycznych dla odbudowującego się polskiego przemysłu. Przedsiębiorstwo stało się jedną z bardziej znaczących firm krajowych produkujących tabor kolejowy, a w szczególności wagony towarowe i lokomotywy spalinowe małej mocy. Pod koniec lat 50. XX wieku nastąpiła widoczna zmiana profilu przedsiębiorstwa – zakończono produkcję mostów i konstrukcji stalowych. W ich miejsce wprowadzono montaż klatek górniczych, następnie domeną zakładu stały się wagony towarowe i specjalne, cysterny, wózki i lokomotywy spalinowe małej mocy. Skupiano się szczególnie na wagonach towarowych krytych do przewozu zboża, samowyładowczych (dumpcary) sześć- i czteroosiowych, cysternach, węglarkach, lokomotywach manewrowych oraz platformach. Produkty wytwarzane w Zastalu były zawsze wysokiej jakości i przystosowane do potrzeb zamawiającego. Zielonogórskie



Pierwszy wagon towarowy wykonany w Zastalu w 1946 r. (do 1948 r. fabryka nazywała się Wagmo)

wagony niejednokrotnie przeznaczone były głównie do pracy w bardzo trudnych warunkach: w kopalniach rudy żelaza i metali kolorowych, kopalniach węgla, hutach i kamieniołomach. Stąd też tak ogromny sukces przedsiębiorstwa na zamówienia, a co za tym idzie i w przychodach firmy. Również rozmaite działania poza granicami kraju doprowadziły do tego, że Zastal stał się w drugiej połowie lat 80. monopolistą w dostawie wagonów na rynki europejskie. Kontrpartnerzy zostawiani byli przez fabrykę z Zielonej Góry daleko w tyle i nie byli w stanie osiągnąć tak wysokiej jakości produkcji, jak Zastal.



Wagon towarowy zbudowany po 1946 r.

Do zakończenia działalności Zastalu jako przedsiębiorstwa państwowego w 1992 r. fabryka osiągała kolosalne zyski, nienotowane nigdy dotąd w całej historii poprzez podejmowanie śmiałych i radykalnych działań zarówno organizacyjnych, produkcyjnych, jak i handlowych oraz w wyniku przejścia na rozliczenia dewizowe z głównymi odbiorcami i z rzetelną pracą całej załogi, a przedsiębiorstwo samofinansowało swoją działalność bez zaciągania jakichkolwiek kredytów.

Kolejka, która woziła ludzi, gęsi, buraki, węgiel

Jak myślicie? Czy najpierw obejrzałem zdjęcie, a potem szukałem budynku w terenie? Czy może jednak ktoś z Ochli mi go pokazał i dopiero potem szukałem zdjęcia w internecie?

Chyba to nie jest ważne, skoro i ja już tego nie pamiętam. Wiem tyle, że najpierw sam, a potem ze studentami z Sulechowa, z miłośnikami kolejki, z dziećmi z Pogotowia Opiekuńczego, z licealistami z Nowej Soli i innymi osobami należącymi do Instytutu Społecznych Oddziaływań Kolei w Zielonej Górze szukaliśmy czegoś takiego samego w Jarogniewicach, w Radwanowie i dalej aż po Szprotawę. Szukaliśmy dawnych dworców kolei zwanej szprotawską, podobnych do tego w Ochli. Były dziesiątki spotkań, wysłuchaliśmy setek opowieści i mieliśmy jeszcze więcej domysłów, zagadek, tajemnic.

Pamiętam przyjazd naszej ekipy do Wichowa. To było w szkole. Tej obok kamiennej dzwonnicy. Przed oczami mam jeszcze ganek wychodzący stromymi schodami na drogę z Niwisk do krzyżówki. Przyszło sporo ludzi do szkolnej sali. Trafiliśmy na spotkanie dzisiejszych mieszkańców wsi z delegacją tych dawnych. Jeszcze z Weichau. Ktoś wyprowadził do nas, na ganek, starszego pana. Przedstawił się: Herbert Wagner.

– Szukamy fotografii stacji. Czy pan pamięta kolejkę? Jak wyglądał dworzec w Weichau? Co wożono wagonami i dokąd? – zarzuciliśmy go pytaniami.

Herbert Wagner (rocznik 1927) uciekał z Weichau w 1945 r. pociągiem. Odjechał po torach kolei szprotawskiej. Był wtedy w wieku, w którym miewa się sympatie. I on też miał dziewczynę. Ona na pamiątkę wspólnej młodości w Weichau zostawiła mu swoje zdjęcie, które jeszcze przechowuje. Zapewnił, że przyśle skan tego zdjęcia, bo zostało wykonane na stacji kolei szprotawskiej. I dołączy swój wiersz. Wiersz, który napisał, gdy jako osiemnastolatek opuszczał swoją rodzinną wieś Weichau. Nie wiedzieć czemu, tak jak my najbardziej pasjonowała go ta kolejka.

Lepiej nie można było trafić. Miłośnik kolejki sprzed ponad 70 lat, ze świata którego już nie ma.

Po niedługim czasie mail z załącznikami przyszedł do mnie. Zdziwiłem się, bo na zdjęciu nie było domu podobnego do budynku w Ochli, a stała wiata w połowie drewniana, w połowie z pruskiego muru. I wtedy ktoś, niejako do kompletu, znalazł pocztówkę z Kartowic, a ściślej z Kortnitz. To nie było zdjęcie, widoczek był malowany. Parowóz na tle takiej samej jak w Weichau wiaty, z nazwą wsi. Podpisano „Bahnhof”.

Jakoś w tym samym czasie nawiązaliśmy kontakt z Marcinem Zarzyckim. To nauczyciel historii, absolwent zielonogórskiej WSP. W tym okresie uczył w Przemkowie. Ale zanim wyjechał z Zielonej Góry, napisał

pracę o przejściu po drugiej wojnie światowej przez PKP kolei szprotawskiej. Dotarł między innymi do opisów stacji z inwentaryzacją infrastruktury. Nie wszystkich, lecz tylko kilku.

W dalszym „śledztwie” okazało się, że najprawdopodobniej w co drugiej wsi był budynek dworca taki jak w Ochli, a w pozostałych wiata taka jak w Wichowie. Opis takiej wiaty (od M. Zarzyckiego) mamy też z Jarogniewic. Podczas zlotu dla uczniów zielonogórskich szkół w 2009 r. odkopaliśmy fundamenty takiej samej wiaty w Broniszowie. Zachowany budynek dworcowy znaleźliśmy jeszcze w Witkowie. Do tego podczas międzynarodowego obozu zrealizowanego z Fundacją Batorego w 2009 r., razem z archeologami ze Świdnicy, odkopaliśmy fundamenty takiego samego dworca w Radwanowie. Wstępne badania wskazują też na to, że podobny dworzec był na stacji Dębiczka, we wsi na skraju lasu broniszowskiego, która już nie istnieje. Co potwierdzałoby naszą tezę.

Kolej zielonogórsko-szprotawska powstała z inicjatywy przedsiębiorców i mieszkańców. Miała gospodarczo ożywić zamierające tereny w czterech powiatach północnego Dolnego Śląska. Wśród jej udziałowców byli najwięksi fabrykanci Grünbergu (pol. Zielona Góra), rzemieślnicy, właściciele ziemscy z terenu przebiegu kolei, magistraty Grünbergu i Sprottau (pol. Szprotawa). Wbrew temu czego oczekiwano,

kolej nie ożywiła wyłącznie Grünbergu i Sprottau.

Dzięki niej ożyły małe interesy w wioskach, przez które przebiegała linia.

To było jeszcze wcześniej, bo w 2005 r. Wtedy, gdy wpadliśmy na spotkanie strażaków do świetlicy w Jarogniewicach.



Przedwojenna pocztówka z Jarogniewic z usuniętym widokiem dworca kolejowego

Przynieśliśmy trochę opowieści z historii wsi, druhowie zrewanżowali się skrzynką schłodzonego piwa. W pewnej chwili ktoś przypomniał, że przecież w kościele wisi reprodukcja zdjęcia stacji kolejowej Hartmannsdorf. Jako że w Jarogniewicach świątynia stoi trzy kroki od świetlicy, od razu przeszliśmy od słów do czynu.

I rzeczywiście na ścianie kruchty wisiała kserokopia zdjęcia z podpisem „Bahnhofstation”. Fotografia przedstawiała jednak bardziej czyjeś zabudowania gospodarcze z potężnym, murowanym domem, z parterem i oknami na piętrze.

– To nie wygląda na dworzec – zaczęliśmy grymasić.

– Czy ten budynek zachował się? Znaleźliście go?

– Wiecie, kto powiesił zdjęcie w kościele? Czyje ono jest?

– Może trzeba zapytać księdza? – poradził ktoś z miejscowych.

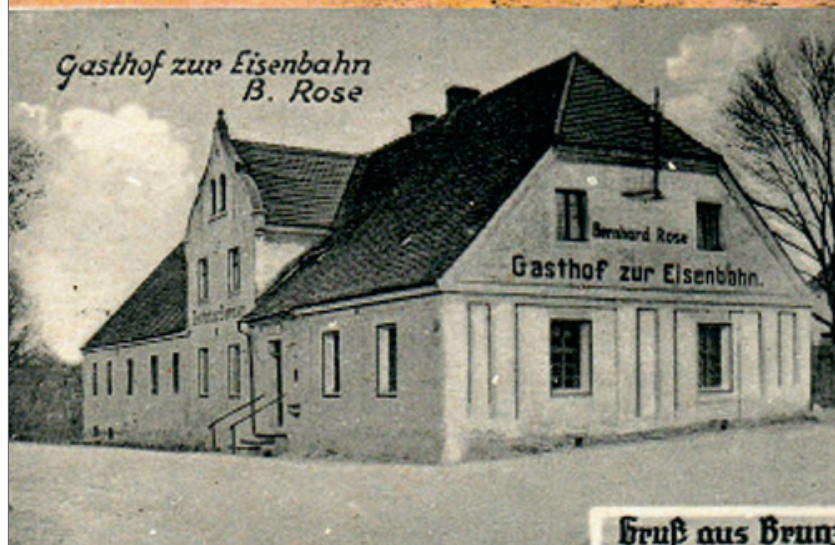
– Spytamy, ale i wy porozmawiajcie ze znajomymi tu, na miejscu.

Kogo poszukiwaliśmy? Co mieliśmy odkryć, jak byśmy go już odnaleźli? Nowe tajemnice czy może dobrniemy do krańca badań?

Po telefonie na plebanię w Broniszowie okazało się, że zdjęcie powiesił Marek Sternal, mieszkaniec wsi, kolekcjoner. Szybko nawiązaliśmy z nim kontakt. Reprodukacja w kruchcie okazała się częścią czterowidokowej pocztówki sprzed wojny. Pełny podpis brzmiał: „Gruß aus Hartmannsdorf, Kr. Freistadt N-Schl, Bahnhofstation” (pol. Pozdrowienia z Jarogniewic, powiat Kozuchów, Dolny Śląsk, stacja kolejowa). Jej kolejne fragmenty przedstawiały kościół, restaurację z pokojami gościnnymi (obecnie świetlica), budynek gospodarczy (ten z kruchty). Czwarty fragment był odcinany.

Poszukiwania należało zatem kontynuować. Strażacy dali nam znać, że widoczny na zdjęciu sprzed wojny dom jeszcze stoi. Sprawdziliśmy. Faktycznie, blisko dawnych torów, nawet niemal tuż przy rozebranej mijance, ale zarówno topografia miejsca, jak i ułożenie jej bryły względem równi stacyjnej w zasadzie wykluczały to, żeby budynek pełnił rolę dworca. W międzyczasie odnaleźliśmy drugą pocztówkę z Hartmannsdorfu. Ten sam budynek był na niej podpisany jako „Albert Schulz Warenhaus” (pol. Albert Schulz dom towarowy).

– Brakujące zdjęcie na widokówce prawie na pewno przedstawiało dworzec. To była raczej wiata postawiona na fundamencie – zgodził się z nami M. Sternal.



W przedwojennym Broniszowie bilety kolejowe kupowało się w gospodzie



Wiata stacyjna w Wichowie

Wychodząc na moment w przyszłość, trzeba powiedzieć, że to wszystko potwierdzało tezę, którą wysnuliśmy cztery lata później, a o której było na wstępie. Jeśli w Ochli był

dworzec (zachowany), to w Jarogniewicach wiata, w Radwanowie dworzec (odkopaliliśmy w 2009 r. fundamenty i piwnice), no to w Broniszowie wiata (odkopaliliśmy w 2009 r. fundamenty).

A co ze sklepem A. Schulza? Oddajmy znowu głos M. Sternalowi:

– W sklepie była agencja sprzedaży biletów.

Najpewniej było tak. Schulzowie od lat prowadzili sklep wielobranżowy w Hartmannsdorfie. Gdy w 1910 r. zawiązała się spółka Kleinbahn Grünberg-Sprottau AG, było wiadomo, że kolejka tworzona na mocy ustawy z 1892 r. będzie budowana i obsługiwana tak, żeby było jak najtaniej. Na tego typu liniach nie było semaforów, szlabanów, a pociągi o niskim tonażu jeździły z małymi prędkościami. Tam, gdzie się udało, nie zatrudniano obsługi stacji czy przystanków. Na dworcach budowanych na co drugiej stacji były kasy biletowe, a w zamkniętej części każdej z wiat waga towarowa. Tam, gdzie sprzedaż biletów można było oddać w agencję, nie otwierano kas, oszczędzając na zatrudnieniu.

A. Schulz wyczuł okazję na zwiększenie obrotów w swoim sklepie. Zarząd kolejki poszukiwał właśnie potencjalnych agentów. A. Schulz wykupił więc agencyjną sprzedaż biletów na kolejkę zielonogórsko-szprotawską. Odtąd wszyscy podróżujący szli najpierw do jego sklepu po bilet, a potem wsiadali do wagonu. Rolnicy nadający swoje towary i paczki na pociąg kupowali specjalne marki (nalepki) również w sklepie A. Schulza i dopiero potem szli na przystanek kolejowy. Pod wiatą stała jeszcze waga, gdzie pracownik kolei ważył paczkę i sprawdzał, czy nadawca wykupił właściwą nalepkę.

Gdyby nie widok kościoła na pocztówce z kolekcji M. Sternala, można by rozumieć napis „Bahnhof” w ten sposób, że wszystkie cztery widoczki po prostu dotyczą obiektów związanych z funkcjonowaniem kolei w Hartmannsdorfie. Również ten z restauracją z pokojami gościnnymi.

Jak to? – spyta czytelnik. Rzeczywiście dziwne. Ale zrozumieliśmy i to, gdy pewnego razu chyba Bartek Gruszka pokazał nam pocztówkę z Brunzelwaldau (pol. Broniszów), na której

widniało zdjęcie gościa

Bernharda Rosego. Aby było ciekawiej, napis na szyldzie nad lokalem informował, że to „Gasthof zur Eisenbahn”. Zanim wyjaśniliśmy co to za gościniec kolejowy, dotarła do nas pocztówka tego samego zabudowania, lecz z napisem „Gasthof Paul Rose”.

Okazało się, że tak jak rodzina Schulzów w Hartmannsdorfie prowadziła sklep, tak rodzina Rose’ów w Brunzelwaldau prowadziła z pokolenia na pokolenia zajazd. Na starszym zdjęciu, tym bez dopisku „zur Eisenbahn”, widać skraj stajni. W tym czasie jeździło się tu jeszcze konnymi zaprzęgami. Na nowszym zdjęciu po koniach już nie ma śladu, a zajazd jest gościńcem kolejowym.

Analiza dokumentów kolei szprotawskiej i innych „kleinbahnów” z terenu Niemiec wskazuje na ciekawy rodzaj działania. Faktycznie właściciele spółek kolejowych udzielali licencji na prowadzenie restauracji

i hoteli kolejowych. Często było tak, że przedsiębiorca (rodzina), który od pokoleń prowadził zajazd w danej wsi, w chwili gdy doprowadzono do niej kolej, wykupywał licencję i dalej funkcjonował, ale pod nowym szyldem.

Na trasie kolei szprotawskiej budynki gościńców odnaleźliśmy, oprócz Broniszowa, również w Witkowie i Siecieborzycach (około 2000 r. przebiegały na nim jeszcze niemieckie litery szyldu).

Jeszcze bardziej niezwykle jest to, co ujrzeliśmy naprzeciwko dawnego gościńca w Siecieborzycach. Do dziś zachowały się tam zabudowania okazałej zlewni mleka. Granoczyła ona z równią stacyjną kolejki, z którą to związana jest pewna legenda. Otóż mleko od okolicznych krów, zlewane właśnie w Rückersdorfie (pol. Siecieborzyce), wczesnym rankiem jechało pociągiem do stolicy Niemiec, tak aby berlińczycy przy śniadaniu mogli się nim delektować. Ile w tym prawdy? Czy pociąg z mlekiem z Rückersdorfu do Berlina jechał przez Żagań, czy przez Zieloną Górę, tego nie udało się wyjaśnić.

Zresztą Rückersdorf to bardzo tajemnicza wieś kolejkowa. Tutaj na początku stycznia 1897 r. miało miejsce pierwsze spotkanie osób i przedstawicieli instytucji zainteresowanych budową linii kolejowej z Grünbergu do Sprottau.

W latach 50. rozebrano tory od Zielonej Góry do Stypułowa. Według starszych mieszkańców Siecieborzyc, linia funkcjonowała jeszcze aż do 1970 r., o czym ma świadczyć to, że cysternę na mleko przywoził do zlewni parowóz. Skład uzupełniał wagon osobowy, którym mieszkańcy wsi jeździli do pracy w Szprotawie czy na targ. Czy to prawda?

Od 1946 r. w rozkładach jazdy nie było na tej linii połączenia pasażerskiego (adnotacja „linia na razie nieczynna”). W 1952 r. linia znikła z rozkładów pasażerskich. Jednak, co zdarzało się w tamtych czasach, na takich bocznych liniach w wybrane dni tygodnia do składów towarowych doczepiano wagony dla pasażerów. Takich przewozów nie notowano jednak w rozkładach jazdy.



Podróżnik kolejowy okręgu poznańskiego z 1945 r. podaje, że pociąg ze stacji Zielonagóra-Południe do Szprotawy odjeżdżał o godz. 12.20, przyjeżdżał o 19.30

Jak kolejka funkcjonowała, co wozila, jak ją odbierali mieszkańcy? Na te pytania odpowiada H. Wagner wierszem. Utwór po niemiecku „Ty mała kolejko z małą siłą” powstał w 1945 r. podczas wyjazdu z Weichau za Nysę Łużycką i Odrę.

*Jeździsz w tę i z powrotem, mała kolejko,
na trasie Zielona Góra – Szprotawa.
Tu macha tobie jakaś pani,
tam pieje do ciebie kogut,
tam jest pies, który szczeka,
pozdrawia cię rolnik i idzie na pole.
Zatrzymujesz się na piętnastu stacjach,
zabierasz każdego, kto może zapłacić:
pana i panią, staruszka i dziecko,
gęsi, kury, gołębie pozdrawiają cię.
Także walizki, kosze, worki, torebki,
skrzynki, dzbany, beczki, butelki.
W przedziale bagażowym wieszysz ładunki
dla obywateli, rolników, rzemieślników i handlarzy.
Jako obciążenie doczepiają tobie jeszcze wagon z towarami,
którego nigdy żaden człowiek by nie poruszył,
w pełni załadowany burakami, materiałami budowlanymi, wę-
głem,
nawozem, deskami, drewnem i belkami.
Ty mała kolejko z małą siłą
ileż ty zdołałaś zrobić!
Jesteś i będziesz dla nas niezbędną!
Wiernie jeździsz w tę i z powrotem, nie szczędzisz trudu,
lecz bądźmy szczerzy,
całkiem punktualna nigdy nie jesteś!*

KOLEJKA SZPROTAWSKA

Była także nazywana kolejką jagodową, a to dlatego, że oprócz przewozu towarów jeździli nią zbieracze runa leśnego. Pierwsze spotkanie zainteresowanych budową kolei odbyło się w 1897 r. w Rüdersdorfie (pol. Siecieborzyce). W 1908 r. powstał plan przebiegu trasy. Spółka została powołana w 1910 r. w grünberskim ratuszu. Rok później 1 października nastąpiło otwarcie linii jednotorowej, na którą wyjechał pociąg pasażersko-towarowy. Na poszczególnych stacjach były tzw. mijanki. Linia miała 50,7 km długości. Na jej trasie było 15 przystanków. W Grünbergu znajdowały się trzy stacje (początkowa w rejonie obecnego dworca PKP). Następne były m.in. w Heinersdorfie (Jędrzychów, część Zielonej Góry), Ochelhermsdorfie (Ochla, część Zielonej Góry), Brunzelwaldau (Broniszów), Herwigsdorfie (Stypułów), Weichau (Wichów), Kortnitz (Kartowice). W pierwszych latach po uruchomieniu kolejka przewoziła nawet 300 pasażerów dziennie.

Stary dworzec

1 października 1871 roku o godzinie 9.00 na ówczesnej stacji Grünberg (Schlessien), jak wtedy nazywała się Zielona Góra, mieszkańcy witali pierwszy pociąg kursujący na trasie Głogów – Czerwieńsk. Wtedy też stanął dworzec kolejowy, inny, niż ten, który stoi obecnie.



Stary dworzec kolejowy przetrwał do 1965 r.

fol. Archiwum

Miejsce, gdzie postawiono dworzec, wtedy było oddalone od miasta o kilometr. Według wcześniejszego planu miał on stać w rejonie ulicy Ogrodowej. „Był to budynek w całości wykonany z czerwonej cegły, co było wówczas charakterystyczne dla większości budynków kolejowych – pisze Paweł Kochański w »Roczniku Lubuskim«. – Miał dwie kondygnacje i był nakryty dachem spadzistym o niewielkim nachyleniu, kryty papą, z charakterystycznymi okapami, co również było typowe dla obiektów tego rodzaju. Funkcjonalny układ budynku dzielił go na dwie strefy: parter był przeznaczony dla pasażerów, piętro zajmowały biura i pomieszczenia obsługi stacji. Na parterze były kasy biletowe i poczekalnia, a także trzy lokale gastronomiczne: dwie restauracje i kawiarnia. Budynek był podpiwniczony”. W 1902 r. dworzec został powiększony.

Gdy w 1950 r. Zielona Góra została stolicą województwa, władze stwierdziły, że stary dworzec jest za mały i niereprezentacyjny. W 1965 r. budynek miał zostać rozebrany i na tym miejscu postawiony nowy o kubaturze 11 tys. m sześc., większy o swojego poprzednika o 1/3. Budowę jednak rozpoczęto dwa lata później. W tym czasie funkcję dworca pełnił barak postawiony mniej więcej tam, gdzie obecnie jest centrum przesiadkowe. 30 kwietnia 1970 r. nowy dworzec został uroczystie otwarty.

Od 2004 do 2012 r. trwała przebudowa dworca. Potem była modernizacja stacji (powstał m.in. tunel pod torami aż do ul. Towarowej) i w 2018 r. powrót do nazwy Zielona Góra Główna, która istniała w 1947.

Skansen na szynach

W Zielonej Górze przy ul. Morwowej jest niewielkie muzeum na powietrzu. Stoi tam parowóz z 1909 roku, wagon towarowy z 1915, są zapory kolejowe, semafor i tarcza sygnałowa.

Skansen kolei powiatowych w Zielonej Górze jest odniesieniem do roli, jaką kolej szprotawska pełniła od połowy lat 50. XX wieku. W tym czasie dokonano rozbiórki torów na odcinku Zielona Góra (dawny tartak) – Stypułów. Potem, aż do początku XXI w. pozostałe tory na terenie samego miasta, mocno rozgałęzione, służyły jako zespół miejskich bocznic (między innymi Polmosu, Zefamu, Polskiej Wełny, browaru, winiarni, tartaku).



Semafor ze stacji w Kłobuczynie koło Głogowa

Obok ulicy Armii Krajowej i Morwowej do przełomu lat siedemdziesiątych była dwutorowa bocznicą do tzw. małej winiarni i zakładów mechanicznych. Dzisiejsze torowiska skansenu przypominają tor szlakowy kolei oraz tę bocznicę. Zabytkowe szyny sprzed pierwszej wojny światowej sprowadzone zostały z rozebranej linii Sulechów – Świebodzin.

Skansen budowany jest z budżetu obywatelskiego, systematycznie od 2014 roku. Ekspozyty dostarczają wolontariusze z Klubu Miłośników Kolei Szprotawskiej. Są to darowizny od jednostek PKP. Miłośnicy również pracują społecznie przy sprzątnięciu i przygotowywaniu terenu, przy oprowadzaniu grup zielonogórskich dzieci i gości z Polski i Europy. Systematycznie utrzymują porządek uczniowie Szkoły Podstawowej nr 1.

Skansen jest nietypowy. Organizatorzy nie skupiają się na zabytkach taborowych (wagony, lokomotywy), lecz również na urządzeniach stacyjnych, służących do przewozów towarowych. Dlatego wagony i parowóz

stoją w naturalnym otoczeniu urządzeń z drugiej połowy XIX i pierwszej XX wieku.

Można tutaj podziwiać m. in.:

- uznawany za najstarszy w Polsce skrajnik ze stacji Chociule (z elementów z 1867 r.);
- kozioł oporowy ze stacji Konotop ze śladami katastrofy kolejowej (z elementów z lat 1880–1890);
- rozjazd podwójny ze stacji Konotop z 1912 r.;
- bramkę sygnałową z semaforami karzełkowymi z lat 30. XX w. ze stacji Skwierzyna (w fazie montażu, 2025 r.);
- zapory kolejowe (rogatki) (montaż jesień 2024 r.), semafor i tarczę sygnałową z okresu PRL (ze stacji Kłobuczyn).

Ponadto są tu dwie dreźny, wagon towarowy z 1915 r., parowóz z 1909 r. Remontowany jest wagon osobowy z 1890 r. Przyjedzie też z Sudetów obrotnica z 1896 r.

W skansenie odbywają się spotkania z pisarzami, wystawy fotograficzne (zewnętrzna, podświetlona galeria), akcje zwiedzania parowozu i przejazdu dreźną (dla dzieci). Planowana jest rozbudowa.

MB



Zabytkowy parowóz T3 (TKh1-20) z 1909 roku zatrzymał się na torach skansenu

fot. Archiwum

Po naszych torach pomykały srebrne strzały

Lubuska Kolej Regionalna – to pierwszy polski regionalny przewoźnik kolejowy utworzony w Zielonej Górze. W 1992 roku ukazało się zarządzenie Ministra Transportu i Gospodarki Morskiej powołujące spółkę w celu uruchomienia połączeń pasażerskich na nierentownych liniach, których obsługi zaniechały lub planowały zrobić to Polskie Koleje Państwowe. W 1993 r. rozpoczęto kursy z wykorzystaniem taboru sprowadzonego z Danii. Rok później przedsiębiorstwo zakończyło działalność.

Na początku lat 90. XX wieku w przewozach kolejowych (jak i w każdej dziedzinie życia w okresie transformacji) miał miejsce deficyt budżetowy, w związku z którym rozpoczęto akcję zawieszania ruchu na nierentownych odcinkach sieci kolejowej. W uchwale Rady Ministrów z 14 maja 1991 r. wymieniono odcinki sieci PKP, na których planowano całkowicie zamknąć ruch kolejowy. 10 lipca 1991 r. dyrektor generalny PKP skierował do wojewodów pismo, w którym poinformował o zamierzeniach zawartych w uchwale oraz przedstawił propozycje przekazania zamykanych linii innym użytkownikom: zakładom pracy, przedsiębiorstwom prywatnym lub kolejom niepublicznym, jednak bez szczególnych zasad zmiany własności majątku PKP.

W województwie zielonogórskim przewidywano zamknięcie 20 odcinków o łącznej długości 470 km, co pozbawiłoby komunikacji kolejowej znaczną część mieszkańców regionu. W związku z tym 19 lipca 1991 r. w Urzędzie Wojewódzkim w Zielonej Górze odbyło się spotkanie z przedstawicielami samorządów oraz dyrektorem Rejonu Przewozów Kolejowych w Zielonej Górze. Podczas dyskusji zaproponowano, by na bazie zamykanych linii utworzyć kolej regionalną, a także zdecydowano o przeprowadzeniu przez Rejon Przewozów Kolejowych i Wydział Infrastruktury Technicznej UW analizy możliwości technicznych i ekonomicznych prowadzenia przewozów przez tę kolej.

Przedstawiciele województwa postanowili poznać funkcjonowanie kolei regionalnej w Danii. W trakcie rozmów Duńczycy wyrazili gotowość pomocy i współpracy.

Zaistniała możliwość zakupu 10 spalinyowych zespołów trakcyjnych od kolei duńskich. Po negocjacjach za 47 tys. koron duńskich (1,5 mld starych złotych) otrzymano 10 wagonów napędowych, 29 wagonów pasażerskich oraz 40 wagonów części zamiennych i zestawów naprawczych. Umowa zakupu taboru przez stronę polską została zatwierdzona przez duński parlament.

W drugiej połowie września 1991 r. Sejmik Samorządowy Województwa Zielonogórskiego poparł pomysł powstania Lubuskiej Kolei Regionalnej, po czym w kancelarii notarialnej zawarto umowę spółki. 4 października tego samego roku przedsiębiorstwo zostało zarejestrowane w Sądzie Rejonowym w Zielonej Górze. Jego siedziba mieściła się w Zielonej Górze przy ul. Ludowej 1 w części zabytkowego budynku biurowego (obecnie znajdują się tu biura Polskich Linii Kolejowych). Większość udziałów w spółce posiadał wojewoda, po jednym gminy Jasień i Sulechów.

W wyniku negocjacji prowadzonych przez PKP, zarząd LKR i władze województwa wytypowały linie kolejowe do przekazania nowemu przewoźnikowi. 4 marca 1992 r. ostatecznie określono obszar działania spółki, na który składało się 277 km linii. Wojewódzie Zielonogórskiemu na rzecz LKR przekazano odcinki:

Toporów – Sieniawa Lubuska, Sulechów – Świebodzin (zamknięty ze względu na zły stan techniczny), Sulechów – Konotop (zamknięty ze względu na zły stan techniczny), Sulechów – Wolsztyn, Wolsztyn – Nowa Sól (najlepszy stan techniczny wśród przekazanych odcinków), Kożuchów – Niegosławice,



Znak rozpoznawczy Lubuskiej Kolei Regionalnej

Stary Raduszec – Lubsko i Lubsko – Tuplice (zamknięty ze względu na zły stan techniczny),

Lipinka Głogowska – Kolsko.

W drugiej połowie 1991 r.

LKR kupiła od kolei duńskich DSB łącznie 39 wagonów,

pośród których znalazło się 10 wagonów silnikowych umożliwiających zestawienie 10 składów. Do eksploatacji w Polsce dopuszczonych zostało pięć, a cztery z nich były użytkowane. Ich żywotność określono na co najmniej 15 lat. Pojazdy te były uznawane za jedne z nowocześniejszych spośród taboru eksploatowanego wówczas w kraju. Były wyposażone w fotele lotnicze z ruchomymi oparciami, klimatyzację, drzwi otwierane przyciskiem, przedział barowy i toaletę, w której znajdował się przewijak dla niemowląt oraz można było korzystać z ciepłej i zimnej wody. Stacjonowały w Lokomotywowni Czerwieńsk, gdzie znajdował się również ich warsztat naprawczy. Ze względu na wygląd pojazdy nazywano srebrnymi strzałami lub cygarami.

16 marca 1992 w Zielonej Górze nastąpiło uroczyste przekazanie pierwszych dwóch składów DSB dla LKR, a w lipcu przewoźnik został zwolniony z opłat za przejazdy po liniach PKP. 5 października, po dalszych staraniach LKR, dyrektor generalny PKP przekazał przewoźnikowi również odcinek Tuplice – Łęknica i dodatkowo Jankowa Żagańska – Sanice. 8 października Minister Transportu i Gospodarki Morskiej podpisał zarządzenie, na mocy którego

powołano Lubuską Kolej Regionalną oraz uznano ją za kolej użytku publicznego.

W grudniu 1992 r. LKR zaproponowała ogólne zasady współpracy z PKP w zakresie przewozów towarowych. LKR w imieniu PKP miała wykonywać czynności spedycyjne na swoich liniach i ponosić koszt ich utrzymania, za co miała otrzymywać prowizję w wysokości 8 proc. z należności przewozowej za całą drogę przesyłki, natomiast PKP własnym taborem i swoimi zespołami miałyby obsługiwać stronę techniczną zadania. W drugim etapie LKR planowała sama wykonywać przewozy towarowe z wykorzystaniem własnych lokomotyw i zasobów ludzkich. Spółka oczekiwała dużego dochodu przy niewielkim wzroście kosztów.

W 1993 r. LKR zawierała kolejne umowy i porozumienia z PKP. W styczniu uzgodniono rozkłady jazdy, a w marcu podpisano umowę dotyczącą przewozów pasażerskich. W kwietniu miało miejsce przekazanie części torów oraz magazynu i pomieszczeń warsztatowych w Lokomotywowni Czerwieńsk, a także rozpoczęto w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego w Poznaniu proces dopuszczenia duńskiego taboru do ruchu. W maju uzgodniono procedury postępowania w przypadku wypadków i awarii.

23 maja 1993 r., wraz z wprowadzeniem nowego rozkładu jazdy, LKR rozpoczęła przewozy pasażerskie. Cztery z pięciu dopuszczonych do ruchu składów obsługiwały pociągi osobowe na trasach: Wolsztyn – Sulechów, Wolsztyn – Czerwieńsk, Wolsztyn – Sława, Wolsztyn – Niegosławice, Sieniawa Lubuska – Zielona Góra, Sieniawa Lubuska – Zbąszynek, Nowa Sól – Sława, Nowa Sól – Żary, Tuplice – Łęknica, Żagań – Lubsko.

Dodatkowo w weekendy jeździł pociąg z Czerwieńska do Karpacza. W dni robocze pociągi kursowały od godziny

4.00 do 20.30, w weekendy od 6.00 do 19.45. Planowano także uruchomienie połączeń z Zielonej Góry i Gubina do Warszawy, na potrzeby których przewoźnik miał otrzymać dodatkowych 10 wagonów od DSB.

W chwili uruchomienia połączeń spółka zatrudniała 59 osób,

w tym 12 na część etatu. Pociągi prowadziła dwuosobowa drużyna trakcyjna wyposażona w radiotelefon do łączności ze stacjami. Do obowiązków kierownika pociągu należało zamykanie i otwieranie rogatek na przejazdach, gdyż LKR nie zatrudniała dróżników. Po zatrzymaniu pociągu kierownik wysiadał z niego i opuszczał rogatkę, po czym pociąg przejeżdżał przez przejazd, a pracownik otwierał szlaban i wracał do składu. Ten sposób obsługi przejazdów był wcześniej i później praktykowany również na PKP. By poprawić tę sytuację, koleje duńskie planowały nieodpłatnie przekazać LKR kilka urządzeń samoczynnego zamykania rogatek. Kierownik pociągu obsługiwał również podróżnych i dysponował wydrukowanymi biletami. Ich sprzedaż odbywała się głównie w pociągach, gdyż przedsiębiorstwo posiadało tylko jedną kasę na dworcu w Zielonej Górze, a dodatkowo również kantor wymiany walut na przejściu granicznym w Olszynie. Po przesiadce z pociągu LKR do składu PKP za wypisanie

biletu PKP nie pobierało dodatkowych opłat.

25 maja 1993 r. LKR miała zrealizować przejazd pociągu dodatkowego z wycieczką szkolną relacji Zielona Góra – Żagań. Ze względu na odmowę dostępu do infrastruktury przez PKP przewoźnik musiał odwołać pociąg i w jego miejscu podstawił autobus zastępczy.

Przejęcie na własność LKR infrastruktury kolejowej będącej własnością PKP okazało się problematyczne. Pierwotnie zakładano przekazanie na rzecz Skarbu Państwa całej infrastruktury, a następnie oddanie w użytkowanie LKR tylko jej części związanej z funkcjonowaniem kolei, podczas gdy reszta miała zostać skomunalizowana na rzecz gmin i następnie sprzedana. PKP natomiast były zdania, że LKR powinna przejąć wszystkie obiekty, łącznie z mieszkaniami kolejowymi i dworcami. Ponadto pociągi LKR na głównych liniach PKP mogły odjeżdżać tylko po pociągach przewoźnika państwowego. W lipcu 1993 r. dwaj przewoźnicy ponownie uzgodnili rozkład jazdy, w listopadzie po raz drugi została przedyskutowana kwestia zwolnienia LKR z opłat za przejazdy po liniach PKP oraz przeanalizowano zasady przekazywania infrastruktury.

Eksplatacja na liniach lokalnych taboru zaprojektowanego do ruchu ekspresowego była nieekonomiczna. Skład



Pociąg LKR na stacji w Zielonej Górze

fol. Maciej Kot



Wnętrze wagonu LKR

na 1 km trasy zużywał 2 l oleju napędowego, podczas gdy autobus szynowy serii SA101 wyprodukowany w 1992 r. przez ZNTK Poznań na tym samym odcinku zużywał dziesięciokrotnie mniej ropy. Jedno tankowanie pociągu LKR kosztowało spółkę 14 mln starych złotych, a wpływy z przebytej na nim trasy wynosiły 2,5 mln. Nadto tabor oczekiwał kosztownych remontów połączonych z regeneracją lub wymianą części.

Problemem okazało się również finansowanie spółki. Zgodnie z koncepcją jej powołania przedsiębiorstwo powinno się samofinansować, jednak podstawowa działalność, jaką były tylko przewozy pasażerskie, była deficytowa pomimo dotacji ministerialnej wynoszącej w całym 1993 r. około 10 mld starych złotych. Niezbędne stało się podjęcie zyskownych przewozów towarowych, o których uruchomienie LKR zabiegała od grudnia 1992 r. Dokładnie rok później przewoźnicy podpisali umowę o przewozie towarów.

Jako że PKP obsługiwały ważniejsze linie województwa zielonogórskiego,

LKR miała niewielkie znaczenie w przewozach pasażerskich.

Zapełnienie jej pociągów nie przekraczało 12 proc. Ponadto przewoźnik ostatecznie nie otrzymał od PKP zgody na uruchomienie przewozów towarowych mimo umowy. Przed spółką stała perspektywa strat w obsłudze

bocznych linii pasażerskich przy jednoczesnych kosztach związanych z utrzymaniem infrastruktury i zaplecza. LKR przewiozły około 150 tys. osób, przynosząc 9 mld starych złotych straty. W związku z powyższym w 1994 r. wojewoda podjął decyzję o postawieniu w stan likwidacji spółki będącej obciążeniem dla budżetu województwa.

Usługi przewozowe były świadczone przez LKR do lutego 1994 r. W rozkładzie jazdy na lato tego roku pociągi tej spółki oznaczono jako kursujące po ogłoszeniu, ale ostatecznie nie miało ono miejsca i połączenia nie zostały uruchomione.

8 lipca 1994 r. powołano likwidatora spółki, a 9 października został wystawiony na sprzedaż tabor przewoźnika. Dalsza likwidacja spółki, która w międzyczasie otrzymała za symboliczną opłatą dodatkowo 10 wagonów oraz starała się za pośrednictwem DSB o uzyskanie pieniędzy z Unii Europejskiej i innych organizacji, trwała do 1997 r.

„Plotka o tym, że wagony Lubuskiej Kolei Regionalnej pójdą na złom, była znana od dość dawna. Likwidator LKR na różne sposoby zabiegał o chętnych do przejścia wagonów. W prasie i telewizji pojawiały się oferty zachęcające do wzięcia taboru za darmo. Propozycje takie były składane wojewodom, gminom, osobom prywatnym i instytucjom, w kraju i za granicą” – pisał na

początku 1995 r. w „Nowych Sygnałach”, zielonogórski miłośnik kolei, Maciej Kot.

„Do likwidatora zgłosiło się sporo osób prywatnych m.in. w Krakowie i Bieszczadach. Chcieli adaptować wagony na pomieszczenia socjalne. Wszystkich jednak przeraziły koszty transportu. Pewna firma żądała 180 milionów starych złotych [18 tys. PLN] za 60 km” – relacjonował M. Kot.

Niezwykłe oryginalny pomysł padł w Zielonej Górze. Z wagonów LKR radni planowali urządzić miasteczko socjalne. Zarząd miasta uznał jednak ten pomysł za nieopłacalny.

Ostatecznie w drugiej połowie 1994 r. tabor został wystawiony na sprzedaż. 14 wagonów bez homologacji zostało zełomowanych w należącym do spółki punkcie cięcia wagonów w Żarach. Sprawne wagony silnikowe pocięto na złom na stacji Lubsko. Część pozostałych wagonów znalazła inne zastosowanie. M.in. trzy jednostki dotarły po torach do stacji Nowa Rola w gminie Tuplice, gdzie zdjęto je dźwigiem na drogę i ciągnięto około 800 m samochodem po bruku (już bez wózków). Przez kilka lat pełniły tam rolę świetlicy.

Z całej tej historii jedno jest tylko pewne: Duńczycy do dziś plują sobie w brodę, że zaufali Polsce i przekazali jej ten zbędny wówczas tabor. Obecnie jedyny tam zachowany pojazd tego typu jest zabytkiem klasy 0.

Wielka szkoda, bo dziś choćby tylko części wyposażenia tych wagonów, jak fotele, popielniczki czy kinkiety, osiągałyby na rynku kolekcjonerskim wysokie ceny, ale nikt ich nie zachował, więc nigdy tego nie zobaczymy.

Artykuł pomija wątek przekrętów w spółce LKR, a można by o tym napisać również tekst. To się nie mogło udać, dokładnie z takiego samego powodu jak branie w łapę bez wydawania biletów przez konduktorów pociągów relacji Grzmiąca – Połczyn Zdrój, co doprowadziło do upadku tej linii kolejowej.

Daniel Jung

Samolotem bliżej, prędzej i wygodniej

Zielona Góra – Babimost należy do najszybciej rozwijających się małych lotnisk – twierdzi Stowarzyszenie Europejskich Portów Lotniczych. Stowarzyszenie przeanalizowało dane dotyczące ruchu pasażerskiego. Wyszło, że w 2023 roku w porównaniu z 2019 było więcej pasażerów aż o 139,7 proc. Pierwsze miejsce zajął port Kramfors w środkowej Szwecji (144,4 proc.), trzecie Porto-Santo w archipelagu Madery (88,8).

Historia tego portu zaczęła się w 1945 r., kiedy między Nowym Kramskiem i Babimostem zaczęto budować lotnisko dla Armii Czerwonej. Od 1957 r. stacjonował tu najpierw polski 45 Pułk Lotnictwa Myśliwskiego, a później 45 Lotniczy Pułk Szkolno-Bojowy, rozformowany w 1992 r. Wtedy powstała, istniejąca do 1999 r., Komenda Obsługi Lotniska Babimost, której zadaniem było utrzymanie w pełnej sprawności technicznej i bojowej lotniska oraz koszar. Całkowita likwidacja jednostki wojskowej nastąpiła w 2003 r., mimo to lotnisko należało do wojska jeszcze w 2010 r. Po 13 latach nieobecności wojsko powróciło do Babimostu. Od 2023 r. użytkownikiem części wojskowej jest 31 Baza Lotnictwa Taktycznego z podległymi Krzesin.

Jako lotnisko pasażerskie miejsce to funkcjonuje od 1977 r. Tego roku 21 lipca przyleciał z Warszawy do Babimostu pierwszy cywilny samolot. Loty pasażerskie odbywały się w dni robocze rano do Warszawy i powrót wieczorem do Babimostu. Później zamykano port i otwierano. W 2010 r. lotnisko przejął samorząd województwa od Skarbu Państwa, wtedy odbywały się między innymi loty do Warszawy z międzylądowaniem w Poznaniu. Od 2011 r. istnieje stałe połączenie ze stolicą i okresowe z portami lotniczymi w Gdańsku, Krakowie, Rzeszowie. Latem z lotniska Zielona Góra – Babimost odlatują samoloty do Albanii, Bułgarii, Chorwacji i Turcji oraz w innych porach roku do Egiptu. Bywało, że samoloty latały do Drezna i Lwowa.

W 2001 r. z usług portu skorzystało 5624 pasażerów, w 2012 – 12 665, 2019 – 33 783, 2020 – 19 624, 2023 – 53 963. A w lipcu 2024 r. z Babimostu wyleciało troszkę ponad 12 tys. pasażerów. Mimo to port przynosi straty. Jak podaje portal rynek-lotniczy.pl w 2020 r. wyniosły one 66 tys. zł, w 2021 – 98 tys., w 2022 – 85 tys., w 2023 – 155 tys. Wypada dodać, że połowa lotnisk regionalnych w Polsce ma straty.

Postawiony w latach 70. terminal odlotów pasażerskich jest niefunkcyjny i dawno przestał spełniać swoją rolę. Obok niego postawiono halę przylotów. Jest też parking dla samochodów osobowych i autobusów. Obiekty te wyglądają na przestarzałe. Z centrum Zielonej Góry kursują na lotnisko

autobusy, to tylko 34 km. Z portu korzystają przede wszystkim mieszkańcy województwa lubuskiego. Zbierając materiał do tego tekstu, na przylotnikowym parkingu widzieliśmy samochody z rejestracją głogowską, górowską, lubińską, polkowską, wolsztyńską, nowotomyską i nawet z leszczyńską.

Po przejściu lotniska przez samorząd wojewódzki była mowa o usługach świadczonych na rzecz portów niemieckich, między innymi tu miały być sprzątane statki powietrzne lądujące i odlatujące z Berlina. Ostatnio właściciel lotniska podpisał umowę o współpracy z firmą zarządzającą lotniskiem Berlin–Neuhardenberg. Zakłada ona „wymianę dobrych praktyk między lotniskami, doświadczeń i wspólne projekty”.

fot. Daniel Jung



Tak wygląda terminal odlotów pasażerskich zbudowany w połowie lat 70. XX w.

fot. Archiwum Preopago



Tak ma wyglądać nowy terminal pasażerski

Od uruchomienia portu w 1977 r. ma on zwolenników i przeciwników. Przeciwnicy uważają, że jest za drogi i kiepsko wyposażony. Zwolennicy przekonują, że przybývá nowoczesnego wyposażenia. Kupiono system wspomagania lądowania przy ograniczonej widzialności, zbudowano drogę patrolową, strażnicę służby ratowniczo-gaśniczej.

Bazę wykorzystuje lotnictwo medyczne, odbywają się tu szkolenia pilotów cywilnych samolotów pasażerskich, którzy doskonalą się w pilotażu nocnym i przy ograniczonej widoczności. Ci, którzy są za utrzymaniem portu, jako argument podają to, że z infrastruktury lotniska stale korzystają wojska natowskie do przerzutów żołnierzy, ciężkiego sprzętu podczas manewrów i ćwiczeń.

Trzeba dodać, że port lotniczy Zielona Góra – Babimost ma certyfikat potwierdzający spełnienie standardów wymaganych przez lotnictwo unijne. Może tu lądować na przykład Boeing 737 czy Airbus 320.

Idzie nowe. Zielonogórska firma architektoniczna zaprojektowała terminal pasażerski. Ma on mieć 8 tys. metrów kwadratowych powierzchni, co umożliwi odprawę dwóch grup po 180 osób w dwie godziny. Osoby, które chcą się przesiąść z samolotu na samolot, nie będą musiały przechodzić powtórnej kontroli granicznej. Przed terminalem powstanie parking na 900 aut i cztery autokary. Będzie także nowa płyta lotniska wraz z infrastrukturą towarzyszącą i zmodernizowanym układem dróg kołowania. W kwietniu 2024 r. właściciel lotniska podpisał umowę na wykonanie projektu tej inwestycji. Kiedy rozpocznie się budowa? Na to pytanie na razie nikt nie odpowiedział. Po zakończeniu przebudowy port lotniczy Zielona Góra – Babimost będzie mógł obsłużyć 150 tys. pasażerów rocznie.

– Uważamy, że możemy śmiało patrzeć w przyszłość i wykorzystywać to, co w pewien sposób otrzymaliśmy w prezencie – mówi marszałek województwa lubuskiego Marcin Jabłoński. – W przeszłości lotnisko wojskowe zostało w pewien sposób samorządowi darowane. I my o ten dar po prostu zadbałismy. Prócz tego podjęliśmy współpracę ze szkołami średnimi, bo liczymy, że ich absolwenci będą w przyszłości tworzyć kadrę tego większego, lepszego i nowocześniejszego lotniska. Jesteśmy przekonani, że lotnisko jest ważnym atutem samodzielnego regionu, dlatego nie będziemy czekać, aż powstanie Centralny Port Komunikacyjny. Robimy, co do nas należy i wpływamy na naszą rzeczywistość tu i teraz.

Ps.

8 km od centrum miasta znajduje się cywilne lotnisko sportowe Aeroklubu Ziemi Lubuskiej Zielona Góra – Przylep. Tam ma siedzibę lotniczy oddział Straży Granicznej. Również tam znajduje się baza Lotniczego Pogotowia Ratunkowego. W ewidencji Urzędu Lotnictwa Cywilnego jest lądowisko w Grabowcu, w gminie Świdnica, 20 km od centrum Zielonej Góry. Dysponujące drogą trawiastą o długości 700 m. Lądowisko należy do Lasów Państwowych.

Na Wydziale Nauk Inżynieryjno-Technicznych Uniwersytetu Zielonogórskiego można odbyć czteroletnie studia z inżynierii lotniczej. Uczelnia zapewnia, że przyszli inżynierowie zdobędą „wiedzę i umiejętności z zakresu budowy statków powietrznych, silników lotniczych, systemów pokładowych i napędów lotniczych”. Po zdaniu egzaminów w certyfikowanym ośrodku będą mogli pracować w obsłudze technicznej lotnisk.

Daniel Jung

Marzenie o szybkiej kolei aglomeracyjnej

Przed ostatnimi wyborami samorządowymi w Lubuskim Trójmieście mówiło się o budowie szybkiego połączenia kolejowego z Nowej Soli do Sulechowa. Oczywiście przez Zieloną Górę. Koszt tego przedsięwzięcia to nie mniej niż 300 milionów złotych i nie więcej niż pół miliarda. 85 proc. tej kwoty może pochodzić z kasy unijnej.

Z Zielonej Góry do centrum Nowej Soli jest 25 km, do Sulechowa o kilometr mniej. Pociąg osobowy z Nowej Soli do Zielonej Góry potrzebuje 18 minut na pokonanie tej odległości. Pociąg z Zielonej Góry do Sulechowa jedzie minutę dłużej. Bez większego błędu można powiedzieć, że kolejowa Zielona Góra leży w połowie drogi z Nowej Soli do Sulechowa. To nie znaczy, że da się dojechać z Sulechowa do Nowej Soli bez przesiadki w Zielonej Górze. Gospodarze Lubuskiego Trójmiasta, czyli Zielonej Góry, Nowej Soli i Sulechowa oraz okolicznych gmin chcą to zmienić. Czy ta sprawa będzie aktualna po zmianie prezydentów w dwóch największych miastach? Nie słycać głosów przeciwnych. Wiadomo, że w Lubuskim Trójmieście powstała koncepcja budowy szybkiej kolei aglomeracyjnej. I że można starać się o pieniądze unijne na to przedsięwzięcie. W tym miejscu wypada dodać, że sprawa szybkiego połączenia kolejowego z Sulechowa do Nowej Soli przez Zieloną Górę nie jest pomysłem powstałym w głowach tych, którzy rządzą Zieloną Górą i Nową Solą w ostatnich latach. O tym się mówiło jeszcze za tzw. komuny, a nawet kursowały specjalne pociągi z Nowej Soli do wtedy podzielonogórskiego Przylepu, którymi dojeżdżali pracownicy do zakładów mięsnych.

fot. Daniel Jung



Z tego przystanku kolejowego korzystają przede wszystkim osoby dojeżdżające do pracy w firmach znajdujących się w strefie przemysłowej na Nowym Kisielinie

Urzednicy marszałkowscy również o tym myśleli. Napisałi do Ministerstwa Infrastruktury o pieniądze na postawienie dodatkowych przystanków wzdłuż istniejących linii kolejowych. Ministerstwo przyjęło wniosek administracji województwa, ale nie skierowało go do realizacji. A chodziło o utworzenie przystanków: Zielona Góra – Łężyca, Zielona Góra – Przylep (ul. Handlowa), Zielona Góra – Zacisze i Zielona Góra – Osiedle Pomorskie.

Tak więc zostało tylko dobijanie się o pieniądze na budowę kolei aglomeracyjnej. Nawiasem mówiąc nie należy się spodziewać tłoku na całej trasie Sulechów – Nowa Sól. Niewielu sulechowian może mieć coś do załatwienia w Nowej Soli. Dla nowosolan Sulechów nie jest tym miastem, bez którego nie da się żyć. Dla jednych i drugich ośrodkiem docelowym jest centralnie położona Zielona Góra z placówkami służby zdrowia, uniwersytetem i szkołami, żużlem i koszykówką, sklepami, teatrami, filharmonią, koncertami i spotkaniami, urzędami wojewódzkimi. Autorzy pomysłu przekonują, że będą tacy, którzy zostawią swoje samochody w garażach, a to będzie miało wpływ na poprawę klimatu. Szacuje się, że pociągi kolei trójmiejskiej będą przewoziły około 200 tys. pasażerów dziennie.

Jeśli więc marzenie trójmieszczan o szybkiej kolei aglomeracyjnej stanie się rzeczywistością, to znaczy z kasy unijnej popłyną pieniądze, a jest taka możliwość w ramach programu Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Komunikację i Środowisko, to pociągi na trasie Sulechów przez Zieloną Górę do Nowej Soli będą śmigły już w 2027 r.

W planie są dwie trasy. Obie będą biegły wzdłuż już istniejących linii. Nr 1 z Nowej Soli przez Zieloną Górę do Sulechowa, która zostanie przedłużona, ale to za jakiś czas, do Babimostu. Nr 2 będzie prowadziła do Nowogrodu Bobrzańskiego. Przy nich powstanie 27 przystanków. Niektóre istnieją od dawna, ale trzeba je zmodernizować, inne dopiero powstaną. Nowosolanie będą podróżowali z nowych przystanków Nowa Sól – Południe i Nowa Sól – Północ. Powstanie przystanek w Konradowie. W Zielonej Górze oprócz istniejących (Zielona Góra – Nowy Kisielin, Zielona Góra – Stary Kisielin, Zielona Góra Główna i Zielona Góra – Przylep) ma być jeszcze cztery, o które wnioskował urząd marszałkowski. W Czerwieńsku zostanie utworzony Czerwieńsk – Wschód. W Sulechowie przybędą Sulechów – Zachód i Sulechów – Wschód. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to w drugim etapie linia nr 1 zostanie przedłużona do lotniska w Babimostie, gdzie zostanie zbudowany przystanek Port Lotniczy Zielona Góra – Babimost. Dojazd

szynobusem z Zielonej Góry na lotnisko będzie trwał pół godziny.

W Zielonej Górze linia nr 2 będzie się pokrywała z linią nr 1. Na tej trasie pociągi będą się zatrzymywały na przystankach: Stone, Buchałów, Letnica, Koźla, Bogaczów, Nowogród Bobrzański.

Szybka kolej to nie tylko budowa nowych stacji i modernizacja starych, lecz i inwestycje na trasach. W Nowej Soli ma powstać tunel pod przejazdem kolejowym w ciągu ul. Wojska Polskiego. Identyczne rozwiązanie jest planowane w Zielonej Górze przy wyjeździe w stronę Krosna Odrzańskiego. Przy przystankach powstaną parkingi i wiaty na rowery. Wzdłuż tras będą ścieżki pieszo-rowerowe.

Kosztowne będą budowy centrów przesiadkowych w Nowogrodzie, Sulechowie i Zielonej Górze. W Nowej Soli od niedawna jest takie centrum. W trakcie kampanii przed ostatnimi wyborami samorządowymi poprzedni prezydent dużo mówił o budowie drugiego centrum przesiadkowego (jedno jest w pobliżu stacji Zielona Góra Główna dla komunikacji miejskiej). Nowe dla autobusów ma powstać na miejscu istniejących budynków z przełomu XIX i XX wieku, gdzie są magazyny zajmowane przez firmy ekspedycyjne. Południowa ściana budynku od strony ul. Dworcowej zostanie zburzona, zastąpi ją konstrukcja stalowa z dachem wypełnionym świetlikami. Tam ma powstać dziesięć zatok dla autobusów komunikacji dalekobieżnej i podmiejskiej, co oznacza, że dworzec PKS przy Ułańskiej przestanie istnieć. W wyższym budynku będzie poczekalnia, pomieszczenia obsługi podróżnych i administracja centrum. Hotel Pod Lwem zostanie zburzony, rondo Klema Felchnerowskiego będzie przesunięte w stronę Ułańskiej i powiększone tak, żeby tędy wyjeżdżały autobusy. Wjazd będzie od strony dworca kolejowego. Powstanie tunel, którym będzie można przejść na perony stacji Zielona Góra Główna.

Specjaliści twierdzą, że szybka kolej skomunikuje miasta i gminy tworzące Zielonogórsko-Nowosolski Obszar Funkcjonalny.



Tak ma wyglądać autobusowe i kolejowe centrum przesiadkowe w Zielonej Górze

fot. Archiwum

O kostkach na drogi i place wiedzą wszystko

Nie ma chyba w naszym mieście nikogo, kto choć raz w życiu nie stąpałby nogami po nawierzchni stworzonej i wyprodukowanej przez jedną z najbardziej rozpoznawalnych firm w regionie. Po kostkach Ziel-Bruku chodzi się nie tylko w Winnym Grodzie!

Przedsiębiorstwo założone przez Edwarda Makarewicza w 1983 roku działa w branży budowlanej, a konkretnie w technologii betonu wibroprasowanego. Brzmi skomplikowanie i fachowo, ale tak naprawdę chodzi o kostki brukowe, płytki chodnikowe i inne elementy galanterii betonowej w różnych kształtach, formach i kolorach, po których chodzimy i jeździmy rowerami czy autami. I to bez względu na to, czy jesteśmy posiadaczem domku jednorodzinnego, lokatorem bloku czy częstym gościem miejskiego parku.

Kiedy Adama Makarewicza, prezesa zarządu Ziel-Bruk w Gorzowie Wlkp. i wiceprezesa zarządu Ziel-Bruk Makarewicz w Płotach pod Zieloną Górą, pytam o to, gdzie możemy spotkać ich produkty, bez problemu wymienia długą listę miejscowości. To zarówno wielkie miasta, jak Kraków, Lublin czy Wrocław, mniejsze – Radom, Gostyń, Leszno, Kościan oraz Śmigiel, jak i nadmorskie kurorty – Międzyzdroje, Pobierowo i Łukęcin – czy park rozrywki Majaland koło Torzymia. Ale po nawierzchniach produkowanych w Płotach i Gorzowie chodzi się nie tylko w naszym kraju. Można je spotkać również w Niemczech – w Berlinie, Chociebużu (Cottbus), Sprembergu czy Guben – oraz w Holandii.

– Obecność na rynkach zagranicznych potwierdza wysoką jakość i trwałość naszych nawierzchni, docenianą przez klientów nie tylko w Polsce, ale również poza jej granicami – zaznacza A. Makarewicz.

Nazwa firmy, jak można się domyślić, nawiązuje do Zielonej Góry, wybrano ją, aby podkreślić korzenie i silne związki z regionem.

– Zielona Góra jest miejscem, w którym rozpoczęliśmy naszą działalność, a nazwa odzwierciedla nasze zaangażowanie w lokalną społeczność i rynek. To także ukłon w stronę naszej historii i miejsca, z którego się wywodzimy, co pozostaje istotnym elementem naszej tożsamości – wyjaśnia prezes. I dodaje, że prowadzenie firmy to nieustanna walka o utrzymanie równowagi między dążeniem do rozwoju, zadowoleniem klientów, efektywnym zarządzaniem zasobami, co wymaga elastyczności, determinacji i strategicznego myślenia. – Każda podjęta decyzja, szczególnie ta związana z dużymi nakładami finansowymi, jest trudna i obarczona pewnym ryzykiem. Klucz do sukcesu w biznesie, to dostosowanie się do dynamicznie zmieniającego się świata i nowych trendów, wymagające nietuzinkowego, innowacyjnego myślenia oraz ciągłego monitorowania potrzeb rynku, aby móc skutecznie odpowiadać

na wyzwania przyszłości – tłumaczy A. Makarewicz. Najtrudniejszy moment w długiej historii przedsiębiorstwa? Upadłość dużych lokalnych firm budowlanych na początku wieku, które nie wywiązały się ze zobowiązań swojego dostawcy. – W konsekwencji mieliśmy poważne kłopoty z płynnością finansową. Jednak mądra polityka i determinacja właścicieli pozwoliła przetrwać ten bardzo trudny okres.

A największe sukcesy firmy widziane oczami ich właścicieli? Dwie duże inwestycje. Postawienie nowej hali produkcyjnej w Płotach w 2000 r. i wybudowanie „od zera” drugiej fabryki w Gorzowie kilka lat później. – Dzięki tym inwestycjom nasza firma poczyniła duży krok naprzód, wzmacniając swoją pozycję na rynku, poprawiając efektywność i pozyskując nowe możliwości rozwoju, a przez to mogąc optymistycznie patrzeć w przyszłość – podkreśla prezes.

Na stronie internetowej firmy można znaleźć takie hasło przewodnie: „O kostce wiemy wszystko...”. Jako autor artykułu – który, tak na marginesie, ponad 25 lat temu materiały do pracy dyplomowej obronionej w zielonogórskiej „budowlance” zbierał między innymi właśnie w fabryce Ziel-Bruku w Płotach – mogę się pod tym stwierdzeniem podpisać.



Siedziba Ziel-Bruku w podzielonogórskich Płotach

fol. Archiwum Ziel-Bruk

ZIEL-BRUK W LICZBACH

5 hal produkcyjnych
21 zastrzeżonych wzorów patentowych
41 lat działalności
85 wykwalifikowanych pracowników
260 rodzajów szlachetnych kostek brukowych
500 produktów w ofercie
około 15.000.000 mkw. wyprodukowanych nawierzchni

Alicja Błażyńska

Plac Pocztowy 17

W bezpośrednim sąsiedztwie średniowiecznej Zielonej Góry znajduje się jeden z najbardziej znanych miejskich placów. Tu krzyżowały się drogi do Wrocławia, Berlina, Koźuchowa. Po 1945 roku niemiecki Post-Platz został zmieniony na plac Lenina. Ta nazwa towarzyszyła zielonogórczanom do 1 lutego 1991 r., po czym wrócono do przedwojennej nazwy, tyle że w języku polskim.

Pl. Pocztowy nadal pełni ważną funkcję komunikacyjną, ale nieco inną niż dawniej. Jest swoistym ujęciem ze strefy objętej zakazem jazdy samochodami. W jego obrębie dominują kamienice z przeszłości, zarówno tej niemieckiej, jak i polskiej. Budynek, o którym piszę, ma numer 17 i od dekad wiąże się z gastronomią.

Kamienica została zbudowana w 1804 r. Ma kształt litery L, jednak niegdyś jego obrys zamykał się w kwadracie, który wypełniały pomieszczenia gospodarcze i stajnia. Za czasów niemieckich na parterze znajdowały się sklepy: kolonialny Paula Libelta i delikatesy Erwina Goldmanna. Swoją winiarnię prowadził tu kupiec Bartch, a następnie Erich Müller. Jak podaje Agnieszka Konieczna – jedna z redakterek profilu Ex Zielona Góra – przez lata był też siedzibą Domu Żołnierza.

Po wojnie wielką popularnością cieszyły się funkcjonujące w nim lokale gastronomiczne. Pierwszym był bar mleczny. Chodziłam tam na obiady we wczesnych latach szkoły podstawowej, gdy mama (księgowa) miała kontrolę z Warszawy. Dostawałam kilka złotych i sama mogłam wybierać, co będę jadła. Stawałam przed czarną tablicą, wypełnioną nazwami potraw, ułożonych ze wsuwanych liter i kombinowałam. Pomidorowa czy naleśniki? A może pierogi? I wybierałam... gołąbki. Przez sześć dni z rzędu tę samą potrawę. Pamiętam wysokie barowe stoliki, do których nie sięgałam i zawsze

marzyłam o tym, że kiedyś będę przy nich siadać. Bar przy placu Lenina był jednym z trzech czy czterech tego typu placówek w mieście. Niektórzy mówią, że nosił nazwę bar Pod Bykiem, świadczył o tym neon zawieszony na ścianie budynku od strony drukarni. Znalazłam w sieci zdjęcie reklamy, ale nazwy zupełnie nie pamiętam.

W czasach przekształceń własnościowych i restrukturyzacji PSS Społem z baru korzystały głównie osoby niezamożne. Nazywano go barem Seniora, a można tam było realizować bony żywnościowe. Potem gastronomiczną specjalizację kontynuowali właściciele przedsiębiorstwa To Tu. Jednak prawdziwie nowy rozdział w odbiorze tego miejsca zawdzięczamy Magdalenie Miś i Joannie Liddane, które stworzyły restaurację Winnica. Lokal został poddany gruntownemu remontowi. Jako szefa kuchni zatrudniono Tomasza Jakubiaka, znaną osobowość telewizyjną, prowadzącą popularne programy kulinarne. A poczynania kucharzy można było obserwować. Restauracja Winnica została oficjalnie otwarta 10 września 2004 r. i niemal od początku zdobyła serca zielonogórczan. Smakiem płynącym z doskonałej jakości produktów, sposobem podania dań, ciekawymi winami i piwami oraz, co dla mnie ważne, urodą wnętrza. Do Winnicy chodziliśmy rodzinnie nie tylko, by zjeść kaczkę z żurawiną czy łosia na cytrynowym risotto, ale również by chłonąć atmosferę restauracji. Wszystko mnie tam zachwycało: subtelne witraże w oknach z piaskowanymi napisami – wzorowane na tych, które do dziś można spotkać w starych kamienicach, proste drewniane stoły i krzesła, świeże kwiaty, gustowne menu czy elementy ikonografii przedwojennej na ścianach. Dodatkowo uruchomiono pierwsze piętro, gdzie znajdowały się dwie sale – dużą i małą. Ta ostatnia do spotkań kameralnych. Latem przed drzwiami pojawił się ogródek, osłonięty pergolą z roślinnością, a w porze jesiennej czerwono przebarwiony winobluszcz oplatał wejście do lokalu. Chcąc wzbogacić ofertę, wprowadzono między innymi warsztaty gotowania z wysmienionymi kucharzami z kraju i zagranicy, muzyczne piątki czy slowfoodowe śniadania – popularne w wielkich miastach, gdzie w niedzielne poranki spotykają się ludzie, by jeść długo i rozmawiać. Niestety po dwunastu latach, mimo świetnego menu i starań, restauracja została zamknięta.

17 marca 2016 r. w budynku przy pl. Pocztowym 17 wybuchł pożar. Żywioł objął dwie kondygnacje i ścianki dzielące mieszkania, które były z drewna. Spłonęły dwa piętra i dach. Widok obiektu był przygnębiający. Po trwającym trzy lata remoncie miłośnicy dobrej kuchni mogli znowu wejść do restauracji, która pod nowym kierownictwem przyjęła nazwę Sagan Kuchnia Polska. Po kosmetycznych zmianach w aranżacji wnętrza, na stołach pojawiły się potrawy, dobrze znane z naszych domów. Podane na industrialnej porcelanie i za niewygórowaną ceną. Kolejne oblicze restauracji przy pl. Pocztowym 17 przyjęte zostało przyjęte przez zielonogórczan bardzo dobrze.

fot. Archiwum Muzeum Ziemi Lubuskiej



Przedwojenny widok budynku, w którym jest restauracja Sagan Kuchnia Polska

Maria Jolanta Fraszewska

Babcia w błękicie

Oj tak, jeśli mam wspominać babcię i wejść w przeszłość, sześćdziesiąt lat wstecz jest już wiecznością, to religijność babci i wiosenne wapnowanie ścian jej chałupiny stanowi jedność niebiańską. Ona już tam jest, w tym błękicie. W niebie, bo robiła wszystko, aby właśnie do niego trafić, głęboko wierzyła, a wiara przecież czyni cuda.

– Jola, bój się Boga – słyszałam za każdym razem, gdy robiłam coś, co w pojęciu babci było bulwersujące. Nie pamiętam już dokładnie, co to mogłoby być. Miałam dwa, cztery, pięć, sześć latek. Jednak zdanie wypowiedane przez babcię zapamiętałam. Bój się Boga.

– Babciu, a wiesz, że polecili w kosmos i wylądują na Księżycu?

– To bzdury, wnuniu.

Nie: wnusiu, a wnuniu od niuniuniu, od wołania na kury, które biegały po podwórku, tropiąc każde ziarenko rozrzuconego zboża czy toczącego się piasku.

– Jak to babciu? Przecież będą pokazywali w telewizorze...

– Telewizor to diabelskie nasienie. Pudło. O, taki karton, jak ten w kącie – wskazała głową. – A niemożliwe, bo w niebie jest tylko Bóg, nie wierz w to, nie wolno.

– Jak to babciu: nie wolno? – dociekałam skwapliwie.

– Oszukują, bo to komuniści. Nie wolno im wierzyć, oni kłamią. W niebie mieszka tylko Bóg. – Babcia w wyjaśnianiu prawd niebiańskich była bardzo skrupulatna.

A on tam jest sam? Bo przecież ja mam rodzinę, babcię, mamę i tatę?

On też ma.

Jak to, przecież babcia mówiła, że on jest jedyny na świecie.

Jedyny, bo najważniejszy. Ale tam jest cała święta Trójca. Grzeszysz myśląc, że Jego nie ma w niebie.

Ale to nie ja tak myślę, to Rysia mi powiedziała. Wczoraj cały dzień chodziłyśmy po łące, wpatrując się w niebo. Nikogo tam nie było.

A chmurki były? – pyta sprytnie babcia.

Były – potwierdzam zgodnie z prawdą.

A widzisz, Bóg schował się na chwilę.

Ot i rezolucyjność babci uratowała błękitny przed totalnym rozbieleniem.

Babciu, czy mogę nocować u Rysi, bo oni wszyscy idą do Zuzi i będą czekali na lądowanie rakiety.

Po co ty tam będziesz chodziła, przecież to niemożliwe.

Słowa babci padały równo i jednostajnie, miarowo, jak tok wypowiedanej modlitwy rozpętanej w tańcu palców od koralika do koralika długiego i wyślizganego od codziennych gestów penetrowania burego różańca. I w tył, i w przód, i naokrągło, palce przesuwają się z prędkością kosmiczną, a wtórowały im usta, jakby lekko poruszające się na wietrze niby koło młyńskie. Obroty niebieskie są po to, aby zrobić to, co w życiu należy, bo przecież: z każdej mąki będzie chleb. Choć zakalec też się zdarza.

Ale wszyscy tam będą, babciu, prooooooszę.

Wnuniu, Bóg na to nie pozwoli.

– Ach! – jęknęłam, zapadając się w swoim maleńkim ciałku. – Nie pozwoli mi iść do Zuzi? – Słowa upadły nagle jak kamień pod nogi, blokując dojsście do całego nieznanego świata.

– Nie pozwoli latać po niebie, to Jego Królestwo. Zuzia grzeszy myśląc, że będą latać po niebie. Też coś...! – burknęła babcia zjadliwie, podnosząc głos jak wszystkie święte wysokości na błękitnym niebie razem wzięte w obroty niebieskie. – Nie będziesz szła do takiej grzesznicy.

– Babciu, ale to też twoja wnuczka i chodzi z Rysią w niedzielę do kościoła i mówi paciorek, klęcząc przy łóżku przed snem. Ja też klęczę i mówię z babcią paciorek.

– Ty jesteś moja ukochana wnunia, a one to brewetnice, niedobre są, latawice i głośne. Głupie, z nieuczzonego domu – dodała babcia skwapliwie.

– Babciu, ale mogę się z nimi bawić?

– Możesz, możesz, przecie to kuzynki, siostry prawie, ale nie jutro, bo idziemy na jarmarek. Bo szedł Marek na jarmarek – zamruczała pod nosem i dodała: – Dostaniesz swoją ulubioną kręconą cukrową słomkę, ale przedtem pójdziemy do księdza zanieść jaja i mleko. Śmietanki też chciał.

Babcia wyliczała skrzętnie i po porządku, co i jak ma być, aby nie zabłądzić w dniu. Też nie wiem, co mogłoby spotkać babcię po drodze, gdyby się zgubiła. A przecież od babci słyszałam, oj, zgubiłam gdzieś dzień. Tyle było pracy. Więc nigdy nic nie wiadomo. W życiu trzeba uważać na każdym kroku. Bo Bóg patrzy, jak mawiała babcia. Przez pewien czas miałam nawet wątpliwości, czy mogę „chodzić za stodołę”, bo tam pod gołym niebem „tę” czynność się wykonywało. Patrzy czy nie patrzy? – Babciu? On podgląda?

– A dlaczego babcia całuje księdza w rękę? – kontynuowałam. Ciekawość, to pierwszy stopień do piekła, ale jakże pasjonujące jest owo wchodzenie na drabinę szczebel po szczebelku wzwyż.

Dlaczego babcia ma tak wielkie oczy? Bajki uczą dzieci zadawania właściwie brzmiących pytań. W tym względzie pozostałam nadal dzieckiem. No bo jak zrozumieć ludzi, którzy po drodze ku dorosłości gubią gdzieś tę umiejętność, a w skrajnych przypadkach na zawsze? Może leży gdzieś zagubiona jak święty Graal w lesie albo nie wiadomo gdzie, ale leży na płask albo na lewym boku, bo najzdrowiej, i wyczekuje na niemądrego szczęśliwca, podjudzając jego niezrealizowane marzenia. Od zawsze panicznie bałam się określeń typu „na zawsze”. „Od zawsze” nie było najgorsze, bo można było zadać niefrasobliwe pytanie: „a dlaczego?” Wymykało się jakby z przyzwyczajenia, jak pies spuszczonej ze smyczy, łasy na uzyskaną nagle wolność biegnący z radością w podskokach przed siebie w głąb nieznanego. Ale „na zawsze” budziło strach niczym niepojęty, strach wielkości stawu o niepozornych brzegach, a przepastnych od zaraz jak zaraza, posiekany zraz, wirus i grań. Przepaść. I ani kroku dalej, bo koniec twego żywota. I Jezus ci na drogę, wszyscy święci, trójca rodzinna i królowa Matka Jedyna Maryja. Świńskie skojarzenie, a kysz, maro przeklęta, antychryście, diabelskiego nasienia pomocię.

– Babciu, widziałam, chodzili po Księżycu.

– Nie widziałas, bo usnęłaś. Późno było. A komuniści wszystko zmyślili i niczego nie pokazywali, film puścili. Taką sztuczkę zrobili, oni to potrafią. Tylko kłamią i kłamią. Ludzi oszukują.

– A kto to są komuniści? Czy to babci sąsiedzi?
 – Bój się Boga, dziecko, co też ci przychodzi do głowy? Twój ojciec to komunista i stalinowiec. Zaprzedał duszę diabłu, a taki dobry był z niego chłopak i do mszy służył. A potem poszedł na nauki do Warszawy i zaprzedał się diabłu.

– Kocham tatusia, babciu.
 – Kochasz, kochasz, wyrodny syn, dałam do nauki i co? Przeklęty stalinowiec, a on morderca, antychryst, to taki co Boga nie kocha. Jola, a ty kochasz Boga jedynego?

– Tak babciu, kocham.
 – On jest dobry i sprawiedliwy, kocha wszystkich ludzi.
 – Babciu, a jak on to robi, że kocha wszystkich na raz?
 – Nie wolno bluźnić! Bo Bóg cię pokara.
 – Przecież on dobry... babciu, jak to jest? Dobry czy zły, bo kara, a jak kara to zły.

– Skaranie boskie z takim niedowiarkiem, jak cię chowali? Bez Boga, jak można, antychrysty jedne... Kara, kara, mrucała pod nosem. Kara, jak kto niedobry. Tak na chwilę niedobry. A potem już dobry.

A co dzieje się pomiędzy dobrym i niedobrym? Tęgo pytania głośno już nie zadałam. Ono powstało we mnie w środku i tam rozpoczęło swoje odrębne życie. W jaki sposób przechodzi jedno w drugie? Bez szemrania jak babcia kapuciami po drewnianej podłodze czy głośniej jak prychająca babcia na zło tego świata? Tajemnicza wędrówka pokątna i diabelska w ludzkim odzieniu szemrająca zdrowaśki, tak dla zabicia

czasu i na odrębny wypadek. Bo wszelki duch Pana Boga chwali. Wszelki wypadek został już zajęty.

Szmała poleciała w niebiosy. Uniosła się w przestworza jak jedna taka, która zgrzeszyła.

– Idź już spać, Jola, na Boga, głowa do poduchy. Na, na – babcia poklepuje poduchę z pierza w taki sposób, aby zrobić górkę.

– Ale gryzie, babciu... co w niej jest? – wykrzywiłam usta w grymasie.

– Same piórka, wnuniu – uspakają mnie babcia.
 – Piórka jak chmurki? – dopytuję się, zgodnie z potrzebami wyobraźni.

– Z gąski... – uzupełnia mą niewiedzę babcia, więc ja w płacz w niebogłoso.

Nie becz, no, już. Babcia głaszcze mnie po włosach szorstkim spodem dłoni. Teraz naprawdę boli, rwie moje słabiotkie włosy i wątle jak ja wtedy, przed laty...

Zielonogórska Ochla, Muzeum Etnograficzne z przywieszonymi zagrodami z przeszłości. Dwa światy w jednym mieście. Hasło pięknie brzmiące, bo jak z reklamy, albo z wiersza, przyjdź gościu i usiądź pod lipą, a odpocznij sobie.

Siedzimy z babcią, w zasadzie z jej wyobrażonym błękitnym duchem, na wysokiej ławeczce przy patykowatym płocie wzdłuż piaszczystej drogi. Obok, na tej samej ławce stoi sporej wielkości kanka uszykowanego mleka. Zaraz nadjedzie furgonetka z mleczarni, och, nie, to jeszcze nie te lata. Zaraz



rys. Helena Urbaniak

nadjedzie furmanka zaprzęzona w konia, woźnica zejdzie z wozu i z rozmachem chwyci za rączkę aluminiowej poobijanej kanki.

– Dzień dobry, pani Anielo, co dziś tak mało? – zagai po swojemu.

– Mało? Tak samo co zwykle. Antoni pił chyba cało noc, to mu sie ciężary myło – odpowie obruszona babcia.

Świst batem nad głową konia, lekki, tak dla podkreślenia ważności osoby. I smuga kurzu goniąca odjeżdżający pojazd kładzie uszy po sobie. Babcia znika, rozpluwając się jak plama pozostawiona po zapachu gnoju, nazwijmy go smrodem dla wyraźniejszych skojarzeń. Po smrodzie pozostaje oczko w głowie, jak stawek do utonięcia w piwnych oczętach. Trza zasypać. Dlatego babcia wciąż w kaloszach na nogach. Czarnych, męskich i z gnojem pomieszanym ze słomą pod podszwą. Właśnie wyszła ze stajni, znowu trza dorzucić słomy, bo nasrały... i znika w stodole o dachu pokrytym żółtą słomą. Drabina zawsze stała oparta o dach stodoły, za moment powędruje do drzewa wiśniowego, a wiśnie i śliwy obrodziły jak co roku masowo, uginając gałęzie nisko z dostępem dla wyciągniętych rąk łasuchów. Jakże by inaczej? Przecież gnoju się nie wyrzuca, a rozrzuca pod drzewa w sadzie, po polu, żeby rodiło i żywiło w dosycie. Taka rola roli odgrywana co roku w teatrze zmian.

Wiesz, babciu, teraz urządziłabyś błękitną agroturystykę z ciepłym mlekiem bezpośrednio pitym od krowy, z nauką dojenia i łapania krowy za wydatny cyc. – Rozmarzyłam się potencjalnie.

Ugniataj, ugniataj i pociąg. – Babcia podsunęła mi zydek. – Siadaj blisko, z policzkiem przy krowie. O, tak, pociąg raz i drugi. Prysk. Na zdrowie.

Babciu, śmieeeeeerdzi – odchyliłam się z niesmakiem.

Mleko śmierdzi? Zatykaj nos i pij – dziwiła się babcia.

Niedobre... mdli.

Od samego początku to nie był mój świat. Do roboty nie, ale do wędrownego błędzenia zielonymi łąkami i złotymi polami tak. Do bycia, po prostu, do wchodzenia w tajemniczy bezmiar, w którym działa się cuda wyciągnięte jak królik z bogatego w fantazje kapelusza iluzjonisty.

Na wiosnę lub wczesnym latem babcia bielila ściany chaty wapnem z barwnikiem lakmusowym. Błękit mleczny jak moje rozpluwające się z zużycia z upływu lat barwniki oczu. Jaki ładny kolorek, babciu... Dlaczego? Bo tak ma być!

Skąd wiadomo było, jak ma być? Z długowiecznej praktyki. Babcia wiedziała, że kolor niebieski ma odganiać insekty. Bez wyjaśniania, bez tłumaczenia, bez czegokolwiek, tradycja wie, i tyle, tak było więc i teraz tak ma być. Tak się robi i już. Ale dlaczego? Dlaczego...

Much latało wokół mnóstwo. Wielkie czarne bzykające bydlęce, świecące i obżarte, jak wynikało z ich krągłości. Może w ciąży? Bo, gdy ubijało się którąś jednym machnięciem gazety, to takie żółtwe pałeczki, jajeczka rozarte pozostawały śladem rozrodczym. Wpadały do ust, gdy się je otwierało w nieodpowiednim momencie. A ten moment nigdy nie był właściwy, bo po co tyle gadać? Nadaremno? Modlić się można po cichu, Bóg i tak usłyszysz. Babcia wciąż krzątała się wokół czegokolwiek i wszystkiego jednocześnie. A to przy garach, bo świniom „trza dać żreć, nienażarte takie”, a to zupkę wnusi ugotować, a to herbatkę, a to to, a to tamto. Wiadomo, muchy lecą do ciepła, słodyczy i zgnilizny.

Zapomniany świat wyrzucony na śmietnik. Wszystkie smutki i radości zgarnięte przez spycharkę na jeden kopiec, do którego żaden turysta nie trafi ani nie będzie miał ochoty do wspinaczki na zebrane do kupy wysypisko. Nie ma i nie było. Miało istotę i istotność, jednak rozplnęło się w powietrzu, rozwiało jak niespełnione marzenia. Czym różni się spełnienie od niespełnienia, skoro jedno i drugie nie istnieje? Już nie istnieje. Jeszcze nie istnienie. Taka robota boska.

Choć nie wszystko i nie w całości trafia tam, skąd przybyło. Czasem ten właśnie czas stanowi walor do odkupienia win przemijania. Wchodzę w skansen wspomnień. Podwórko malutkie. Teraz, bo wtedy mieściło się na nim całe babcine gospodarstwo wraz z kwietnym ogródkiem. Krowa i świnia lub dwie taplające się przy rynnicy z wodą, gęsi zamknięte w szopie zbitej z perkatych desek, zamykane, bo Jola się boi, gdy sycząc lecą do jej pięt, kaczkę telepiące się pociesznie z jednego boku na drugi, kury i pies uwiązany łańcuchem przy budzie.

Telefonuję do Zuzi, co pamiętasz z przeszłości życia naszej babci?

– Wiem, że urodziła się w 1900 roku koło Czarnolasu. Dziadek zmarł w 1938 roku, a w czasie bombardowania, chyba w 1943 r, spalił się dom, w którym były wszystkie narzędzia dziadka, bo robił drewniane koła.

– Babcia opowiadała, że dziadek był jedynym kołodziejem w okolicy. Robił koła do wozów i ówczesnych ciężarówek, a to szczególna umiejętność. Trzeba było wybrać odpowiednio twarde drewno. A gdy spadła bomba, to od razu pół domu zniknęło w dole, i dziwnym trafem mój ojciec, dziesięciolatek wówczas, słysząc nadlatujące samoloty, schował się pod pierzynę do łóżka babci. I w ten sposób przeżył, bo wraz z bombą przepadła połowa domu z jego łóżkiem, a resztę zjadła pożoga. Potem ludzie pomogli zbudować dom po drugiej stronie obecnego technikum. Tam, gdzie teraz, gdzie teraz go już nie ma. – Zasepiłam się, zamyślając ponownie.

Babcia czasami wspominała, że zbudowała dom własnymi rękami, dlatego nie dziwiły mnie szpary pomiędzy grubymi dechami, zatykanymi przez babcię mchem lub gazetą.

– A niech se poczytają, święte gazety z kościoła, w takich nie macie i nic nie wiecie, że kardynał był w więzieniu. Te komunisty, przekłete – dodawała.

Starą ziemię kupił kuzyn. Nie ma też tych szumiących łąnów dojrzewającego zboża, wśród którego wydeptywałam tajemne przejścia i labirynty. A potem przylatywał gruby niski pan, kierownik kółka rolniczego, i wołał do babci:

– Oj, Jargotowa, Jargotowa, albo krowy kradną państwową trawę przy drodze, żrąc, albo wnuczka depcze państwowe zboże, maszyna przecież nie skosi położonego. Niech Jargotowa pilnuje lepiej. Zaraz Jargotową podliczę za straty poniesione przez państwo polskie.

– A, idź ty do swego państwowego żłoba i głowy mi nie zawracaj byle gównem. Wypasał krowy z moimi dziećkami, a teraz ważny taki. Ganiał w podartych gaciach? Ganiał, i co? Nie pamięta już? A tera wielki pan. Komunista jeden. A poszedł z mego podwórka. Bo pogonie siekiero jak Ruskiego.

– Oj, doigra się Jargotowa kiedyś, doigra – kończył, wycofując się dość zgrabnie jak na swoją posturę. – A wojna już się skończyła, ona nie pamięta? – dodawał naprędce, stosując nie używaną już formę bezosobowej „ona”, tak pospolitej pół wieku temu.

A co do babci, to zazwyczaj nie widziałam jej siedzącej. Klęczącą – tak, a to w kościele, a to przy przydrożnych kapliczkach, a to przed świętymi obrazkami oblegającymi ściany chałupki jak rozpląszone muchy czy bąki końskie zaplątane w sieć wiejskich wydarzeń. Jednak, jeśli leżącą, to tylko w nocy na drewnianym wielkim brązowym łóżku, przykrytym siennikiem z prawdziwej słomy, który babcia uzupełniała rok w rok. Nawet słyszałam jej lekkie pochrapywanie, które nabierało brzmień wznoszących się, a potem hop w dół i cisza, jakby chrapanko spadło ze skały na niewiadome dno i też pogrążyło się w śnie w kolejny niebyt swojego trwania. I tak w kółko Macieju. Wyobrażałam sobie różne sytuacje. Może wilk babcię na chwilę połknął albo babcia połknęła wilka. W nagłej ciszy wszystko wydarzyć się może. Bładym rankiem babcia wstawała, a ja spałam nadal lub tylko drzemałam, obudzona wpadającym słońcem do pokoju. Promienie łaskotały powieki, wołając już dzień, niepowtarzalny.

Babcia nie rozmyślała nad sensem swego istnienia. Wiedziała, że życie ma sens w pracy, w toczeniu się, bo tak Bóg to sobie zaplanował. I po zbędnym gadaniu. Trzeba to i to, żeby było to i to. Krótko jak w matematyce. Życie to odpowiedzialność za toczenie się i przekazywanie toru biegu następnym. Z rąk do rąk. Bez pracy nie ma kołaczy.

W peryferyjnej dzielnicy miasta Zielonej Góry stworzono wieś z odzyskanych chat i zagród. Muzeum Etnograficzne, skansen w Ochli. Tamten świat, współcześnie żyjący przeniesiony do przestrzeni etno, eko muzealnych. Udało się zachować pamięć po przodkach w licznie utworzonych wiejskich domostwach, gdzie można przebywać jak w snach, odwracając kliszę zdarzeń jak klepsydrę. Przesypują się wspomnienia, póki nie zanikną.

Odwiedzam to miejsce stawiając stopy na ziemi i siadając na ławeczce przy płocie, takiej samej jak u mojej babci. Zanurzam się we wspomnienia, spoglądając w błękit nieba. Przedziam się fantazjami nad leżącą gdzieś tam, daleko, przeszłością, której już nie ma ani w pojęciu, ani w przypuszczeniach, obecnego pokolenia mijających mnie codziennie ludzi w mieście wybranym przeze mnie do kontynuacji życia. Zielona Góra od zawsze kusiła mnie nie tylko samą nazwą.

Ale... to ziemie niepewne, po Niemcu. Nigdy nic nie wiadomo – mówiła moja matka, urodzona na ziemiach również odzyskanych. – Ale u mnie były Kaszuby, odzyskane ziemie naprawdę – dodawała – a tu co?

Lubuszenie.

E tam... Wracaj ty nad morze.

Zimno tam, mam, zimno i wciąż wieje.

A więc chcę czy nie chcę, moje życie związane jest z tzw. ziemiami odzyskanymi. Jak dogrzebać się w dół? Jak kura pazurem. Ale śmieszne... Wokół mnie wciąż latają owady z wypisanymi na skrzydłach sentencjami, bo wówczas zamiast własnych słów najczęściej korzystało się już z tych istniejących, potwierdzonych doświadczeniem wieków. Przysłowia były ważne, one powstały z życia i w życiu tradycyjnie występowały nadal.

Słowa zapamiętane są ważniejsze niż ludzie, którzy je wypowiadają. Słowa dłużej żyją, bo nie trafiają od razu do grobu. Czasem są przechowywane w pudle z listami odłożonymi na „może jeszcze tam zajrzeć” albo „żeby została pamiątka po...” albo w bezczelniejszej wersji „dla potomnych”.

Wojciech Sroczyński

W drodze do FZ

Doliną Odry z
Cigacic jadę
Zielona Góra na horyzoncie
Patrzy na mnie
Podjeżdżam nieco bliżej
kolor się jawi zielony
Gdyby tak ptakiem można lecieć
wysepki oglądać domów
ptak co zobaczy
Przylep północą przypięty
Ochla na południu polami koi i parcele kroi
Drzonków parska w stajni
Zatonie pałacem dziwi po margrabim
Pachnie niedźwiedzim czosnkiem w parku
A klucz do bramy?
Znajdziesz w powieści o Grünbergu
przez Freda napisanej



rys. Izabela Sak

Uliczki

Zielonej Góry
uliczkami chodzę

Patrzę uważnie
„Tichelmeister” na ścianie z
tynku odrapanej

Historii słyszę
Chichotanie

Andrzej Nowak

Cuda i obłuda

Maluję świat.
Wszystko się chwieje i rozmywa,
W końcu stabilizuje.
„Świat o zmierzchu”.

Nie widzę – tych, którzy zamierzają coś zmienić,
Nie pozwalam nic domalować.
Niedowidzę – znaków Boga;
Sprawił, że są widzialne, niech podziwia.

Boski obraz,
Niektórzy boskości nienawidzą,
Obraza boska.
Urażeni, zabierają obrazki,
Pierzchają w mrok.

Zostanę w cieniu,
Bez Boga i ludzi.
Przemaluję świat,
Znajdę miejsce dla każdego.

Namaluję cud
Dla ociemniałych.

18.09.2023, g. 16:55

Gadka o kwiatkach

Kto dzisiaj tak mówi
„Uprawiam kwiaty”.
Przychodzę codziennie,
Przemawiam, adoruję.
Inni mówią, że hoduję.
Oni też odwiedzają i podziwiają.
Nie hoduję, uprawiam,
Dla przyjaciela.
Rozmawiam z kwiatami i przyjacielem.
Ja z nimi, one z nim, on z nimi – ze mną
nie.

Ona nie przychodzi,
Aranżuje spotkania, żeby posłuchać o
kwiatkach.
Nie odwiedza, ale dopytuje, czy ciągle
piękne?
Potem milczy.
Lęka się kwiatów,
Zaświatów,
Węża,
I męża.

21.09.2023, g. 18:20



Leżę, bo wierzę

Jestem wiekowym dzieckiem.
Leżę z zamkniętymi oczami.
Pod powiekami rysuję domek,
Z drzwiami, oknami,
Płotkiem przed, ogródkiem za,
Kominem na, i dymkiem z ko.
W górze ptaki, wirują jak literki.
W dole strumyk i zielony kleks.

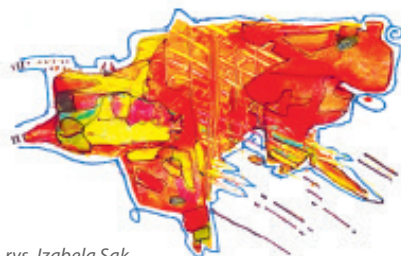
Są ludzie.
Słyszę ich.
Rozmawiają.
Mówią o mnie.
Przeszkadzam? Przecież prawie
mnie nie ma.
Robi się późno, idźcie do domów,
Bo zaczną rysować od nowa!

Przed domkiem kwiaty, za do-
mkiem sad,
Na dachu komin, z komina czad.
W nocy będzie zimno, idźcie.
Dokończę pod powiekami i pójdę –
– na inną ławkę, pod inny most.

Nie bijcie, nie podpalajcie;
Bo domek spłonie
I gdzie się schronię?

No, idźcie już.
Idźcie.

19.09.2023, g. 15:25



rys. Izabela Sak

Potrzeba nieba

Na pustej plaży wynurza się słońce.
Dusza opuszcza mnie i rusza przed siebie.
Dociera nad brzeg,
brnie dalej,
znika gdzieś,
gdzie woda dotyka nieba.

Czekam na jej powrót.
Wraca, nieważne kiedy.

Ruszam plażą zasłaną ludźmi.
Omijam zapatrzonych w horyzont.
Zawieszeni nad ziemią,
czekają na moment,
kiedy słońce zapadnie w wodę.

Wypatrują dusz.
Tęsknią.

15.09.2023, g. 5:15

Era bohatera

Idzie pustymi alejkami.
Mówi przed siebie.

Czeka na odpowiedź.
Nie słyszy. Coś poprawia, idzie dalej.
Zatrzymuje się.
Znowu coś mówi. Słyszysz ciszę.

Szuka ludzi, których nie znajdzie.
Chce odzyskać święty spokój.
Patrzy w ziemię, żeby nie umknął cel.
Tutaj wszystko ma sens.

Na zewnątrz chaos,
Zagubione idee,
Sztandary oszustów,
Na nich wielkie nic.

Rodzice – do ich braku nie przywyknę.
Syn – za chwilę go nie będzie.
Żona – wróciła przed miesiącem,
Los wydziela jej minuty.

Wieczorem przejdzie pustymi alejkami.
Stanie, pomodli się, coś poprawi.
Nie uroni łzy, nikt nie patrzy.
Odwiedzi wszystkich.

Wypełnia się misja.
Wędruje po nieznanach drózkach.
Chciał ratować świat
Przed nicością, ratuje go rytuał.

Bohater, naiwny, święty?
Idzie dalej.

9.01.2023, g. 12:40

Wesoło w anielskim barze

Najnowsza książka Halinki Bohuty-Stąpel to zbiór wielu przezabawnych jednoaktówek, komicznych opowieści i humorystycznych rymowanek lirycznych w formie limeryków i alruików.

Po raz kolejny lubuska autorka zaprasza do swojego ogromnego gościńca bogatej wyobraźni i językowo-słownych igraszek, do świata groteskowych opisów sytuacyjnych, scen parodii, komediowych omyłek i anegdot często w stylu *qui pro quo*. Słowny żart okraszony kabaretowym wigorem to obszar, po którym autorka porusza się jak przysłowiowa ryba w wodzie, wszak teatr nie jest jej obcy. Sama prowadzi kabaret HALLO i występuje na scenie raz jako aktorka, innym razem jako śpiewaczka czy recytatorka.

Tym razem zaserwowała czytelnikom pełen wachlarz swoich artystycznych możliwości, niezwykle obfity, ubrany w szykowne dekoracje słowne i ornamenty sceniczne, w których roi się od żywołowych i satyrycznie odmalowanych postaci, ich wad i przywar, dramatycznych zwrotów akcji, nieszablonowych puent i nieoczekiwanych epilogów. Znajdziemy tu wielu bohaterów, zarówno znanych postaci świata literatury, malarstwa i historii, ale też współczesnych, szarych, przeciętnych zjadaczy chleba. Będzie więc i Szekspir w spódnicy, i Mozart-kobieta, i Balzak, i Picasso, ale też księżna Dino, właścicielka pałacu i parku w zielonogórskim Zatoniu, o którym powstaje coraz więcej publikacji historycznych, wszak stał się on ulubionym miejscem spacerów i występów artystycznych.

„Kobieta, uśmiech i łzy” poświęcona jest głównie niewiastom, zarówno młodym, jak i starszym, pannom, mężatkom i wdowom. Składa się na nią kilka opowiadań prozą oraz limeryków. Druga – „Na zdrowie” dotyczy sztucznego upiększania pań, czyli medycyny plastycznej, stąd autorka zamieściła tutaj m.in. mikrodmę „Klinika Chirurgii Estetycznej”. Trzecia „Spod ciemnej gwiazdy” zawiera krótkie opowiadania i dialogi, w których narratorami i bohaterami są głównie... mężczyźni. W czwartej części – „W krainie sztuki” poświęconej tym razem groteskowemu

dygresjom na temat poezji, dramatu, muzyki czy malarstwa oraz artystom i mecenasom sztuki. Znajdujemy tu kilka przezabawnych minipowieści, limeryków i ballad. „Nasi bracia mniejsi” to najmniejsza objętościowo część poświęcona zwierzętom, na którą składają się bajeczki i alruików. Ostatni rozdział „Całkiem na poważnie (no, prawie...)” zawiera tematycznie-fabularny miszmasz, pomieściła tutaj autorka limeryki, prozę fantastyczną oraz pieśń więzienną.

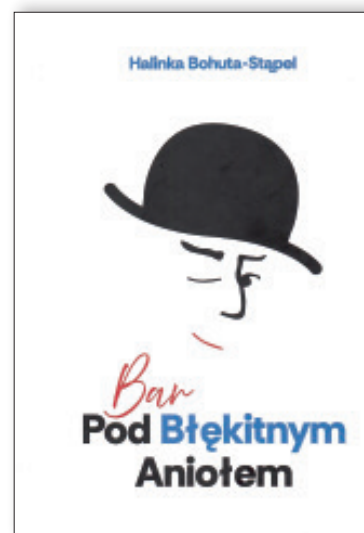
Za miejsce akcji obrała pisarka praktycznie cały teren naszego kraju od morza (Niechorze, Ustka, Elbląg) po Tatry i Sudety (Kudowa-Zdrój), od zachodnich granic (Gubin) po wschodnie rubieże (Biała Podlaska, Łańcut i Lublin), aż po cały niemal region centralny z Warszawą, Poznaniem, Rawiczem, Kolużkami, Kielcami, Chełmem, Rybnikiem, Wieliczką i Olkuszem). Nie brakuje też miejscowości lubuskich, bliskich autorce z uwagi na jej miejsce zamieszkania, np. Zielona Góra, Świebodzin, Żary, Żagań, Gubin, Babimost, Niesulice, Przełazy i Kije).

To, co najbardziej interesuje i co najmocniej piętnuje Halinka Bohuta-Stąpel, to ośmieszanie relacji społecznych i obyczajowych w różnorodnych wymiarach czy kontekstach międzyludzkich, np. relacji damsko-męskich, towarzyskich układów i małżeńskich intryg lub typowo klinicznych w aranżacji: lekarz-pacjent czy nawet w mariażu – mężczyzna i jego ukochana zabawka, czyli samochód. Autorka drwi i ironizuje także z przygodnych i sanatoryjnych romansów, pijackich dysput, kawiarnianych konwersacji, z dewocji, z rozpusty, z lekkich obyczajów, z sądowych mów i zależności, z filmowych, kryminalno-sensacyjnych fabuł, z tragicznych bohaterów klasyki dramatu, ale też wykpiwa i ośmiesza nadętych grafomanów czy nawiedzonych wierszokletów.

Doskonale opanowany warsztat satyryczny pozwala autorce nie tylko w wyszukany sposób bawić się słowem

i żonglować dowcipem, zgrabnie poruszać się po prozatorskich i lirycznych leitmotivach, ale przede wszystkim interesująco opowiadać, ciekawie zawiązywać i zaskakująco rozwiązywać akcje utworów i nade wszystko udanie bawić i rozśmieszać. Świadczy o tym również wiele celnych i dosadnych morałów, jak i rozległe spektrum zastosowanych gatunków, począwszy od mowy wiązanej, swawolnych i animalistycznych bajek, slangowych pieśni złodziejsko-więziennych, ludycznych ballad podwórkowych, poprzez satyry obyczajowo-romantyczne i epickie opowiadki wigilijne, a skończywszy na farsach i inscenizacjach oraz utworach z pogranicza fantastyki i science-fiction, którymi zamyka swój sowizdrzalski tom H. Bohuta-Stąpel.

Zatem, aby tom facecji i sarkastycznych figli H. Bohuty-Stąpel poznać dogłębnie i roześmiać się do rozpuku, wystarczy tylko... przekroczyć próg „Baru pod Błękitnym Aniołem”. Do czego zachęcam, polecając go szczególnie czytelnikom z nieograniczonym poczuciem humoru, którzy – podobnie jak pisarka – wyznają zasadę: „żyć długo, umrzeć młodo”!



Halinka Bohuta-Stąpel, „Bar pod Błękitnym Aniołem”. Groteska, satyra, humoreski, Związek Literatów Polskich, Zielona Góra 2024, 160 s.

Robert Rudiak

Detaliczne okruchy

Roksana Bach to młoda, zielonogórska pisarka, której debiut książkowy przypadł w wieku 31 lat, a więc stosunkowo późno. Ale literacką przygodę zaczęła jeszcze pod nazwiskiem Polon, publikując lirykę i prozę na łamach kwartalników „Pro Libris” i „Pasje Literackie” oraz zdobywając laury na ogólnopolskich konkursach literackich.

Jej pierwszy tomik pod banalnym tytułem „Śliwki w czekoladzie” wydawał się, że będzie zaproszeniem do spokojnego, wręcz cukierkowego świata nostalgii. Nic jednak bardziej mylnego, gdyż teksty zawarte w tomiku, zarówno poetyckie, jak i miniatury prozatorskie, to utwory bardzo smutne, przepełnione goryczą i pustką po stracie ojca i babci, zwłaszcza tej drugiej poetka poświęciła większość tekstów i to ją uczyniła bohaterką książki. Żalność, jaka wypływa z każdego utworu Bach, powoduje, że już po przeczytaniu kilka ma się zwyczajnie dość. Wydaje się, że człowiek jest już na tyle przybity i kolokwialnie mówiąc zdołowany, że się nie chce dalej czytać. Ale za każdym razem zwycięża ciekawość – co będzie dalej? – powodująca, że nie sposób przestać czytać i wyrwać się z rozpaczliwego i nader osobistego, sentymentalnego i żalobnego świata poetki.

Świetnie i przemyślanie skomponowany tomik sprawia, że akcja i ciąg przyczynowo-skutkowy intryguje jeszcze bardziej, a jej utwory – mimo że przygniatają – wchłaniają czytelnika jeszcze mocniej. Teksty ułożone są w formie klasycznej fabuły książki wspomnieniowej, od opisu ukochanej osoby, starszej o 60 lat i mieszkającej niemal w takim samym oddaleniu od autorki. O babci opowiada narrator w otwierającym tomie tekście „Telefony”, a po nim następuje prolog „Połączenia”, który rozwiązuje wór liryków, w większości pozbawionych tytułów, zamyka zaś epilog – wiersz „Rozłączenia”, po którym mamy już tylko miniprozę w formie podsumowania przemyśleń o babci i filozoficzno-melancholijnego opisu sytuacji zastanej po jej odejściu.

Podmiot liryczny „Śliwek w czekoladzie” bardzo szczegółowo, wręcz detalicznie – niczym jak Proust – opowiada

o spotkaniach i rozmowach z babcią, a czasem o ich milczących posiedzeniach przy herbacie, drobiazgowo opisuje, co robiła, co lubiła, co mówiła, jak się zachowywała. Częstokroć te opisy przenoszą nas w świat dzieciństwa kobiecego podmiotu i wówczas opisuje on, jaki wpływ miała babcia na jej wychowanie, co przekazała dziecku, czego uczyła. Stąd możemy dowiedzieć się o ich spacerach do kościoła, jak babcia robiła pierogi, co oglądała w telewizji, jak rozwiązywała krzyżówki, jakie kwiaty lubiła, w co lubiła się ubierać, jak wyglądało jej mieszkanie itd.

Przedmioty, zwykle codziennego użytku, ubrania, meble, różnorakie sprzęty czy nawet urządzenia rodzą melodramatyzm, nie dają zapomnieć, a wręcz przeciwnie, za każdym razem wywołują dręczące wspomnienie i są przyczynkiem do opisanego kolejnego wydarzenia, do przywołania następnej sytuacji z życia babci. Tak dzieje się na przykład z uszkodzonym piekarnikiem. Ale kręcący się wir babcinych rzeczy staje się coraz większy i mocniejszy, a poetka zdaje ochoczo wchodzić w niego, aby jeszcze wydłużyć ich agonię i tym samym przedłużyć życie babci w swojej wyobraźni. One pozwalają przywołać jej pamięć, rodzą spleen, choćby kosztem nowego cierpienia, udręczenia, zgryzoty, kolejnej rozpaczliwej i depresyjnej. Dlatego autorka kronikarsko, precyzyjnie i wręcz pedantycznie tworzy opisy sytuacji związanych z osobistymi rzeczami babci, nieustannie przywracając ją do życia. Pomagają temu zdjęcie, torbka, płaszcz, haftka, słoik z pietruszką, garnek z jednym uchem, dzem, wazon, zapachy...

Wszędobylska pustka i cisza po-brzmiewają z kart poezji R. Bach, przejmujący żal, ból i gorycz wylewają się niemal z każdego zdania, każdego wersu, strofy i frazy. Dramatyzm osobistych



Roksana Bach, „Śliwki w czekoladzie”, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, Zielona Góra 2023, 66 s.

przeżyć jest dojmujący i... ujmujący zarazem. Poetka czyni to perfekcyjnie, rzecz by można, że z pewną gracją, a niekiedy z nonszalancją, niezwykle pewnie i odważnie kreśląc niezwykle delikatny i uczuciowy własny świat przeżyć oraz opisy zapamiętanych wydarzeń ułożonych w niekonwencjonalny dziennik. Tomik „Śliwki w czekoladzie” to swoista, niezwykle nastrojowa, sentymentalna i introspekcyjna peregrynacja poetki po świecie, która nieodwracalnie, wraz ze śmiercią najbliższej osoby odchodzi do lamusa, żyjąc jedynie w ocalonych okruchach wspomnień. Poetka z przedmiotów po babci i osobistych z nią kontaktów czy rozmów, uczyniła poetyckim pomnikiem ku jej pamięci i co interesujące, że w tym osobliwym epitafium nie ma miejsca na klasyczne lamentacje, skargi czy modlitwy.

Z pewnością debiutancki tom wierszy i prozy zielonogórskiej autorki wpisuje się w funeralny, elegijny i komemoracyjny gatunek sztuki lirycznej, w który – jak udowodniła to pisarka – weszła niezwykle pewnie, zaświadcza o swojej wyjątkowej poetyckiej wrażliwości i wyobraźni, a przy tym bardzo sprawnym opanowaniu warsztatowo-językowym.

Marta Morawska

To jest bardzo dobra powieść

Jak na autora kryminałów i thrillerów Krzysztof Koziółek zadanie wykonał wzorowo. Emocjonujące opisy niejednokrotnie wzruszają i chwytają za serce.

Lubię, kiedy autorzy eksperymentują z gatunkami i tematami. Kiedy nie trzymają się bezpiecznie obranego przez siebie nurtu. Gdy zaskakują swoich czytelników i na kartach książek serwują im coraz to nowe niespodzianki. Tak było tym razem, gdyż „Jej ostatnia prośba” to pierwsza powieść obyczajowa w dorobku najbardziej znanego zielonogórskiego „kryminalisty”, Krzysztofa Koziółka, który zdecydował się poruszyć dość trudny temat, jakim jest adopcja.

Andrzeja Trzebę poznajemy w przełomowym (kolejnym zresztą) momencie jego życia – podczas pogrzebu żony, która zginęła w wypadku samochodowym. Kamile zobaczył po raz pierwszy w swoich ukochanych Karkonoszach, dokładniej przy Śnieżnych Kotłach. Gdyby nie zareagował tak szybko, spadłaby w przepaść. Dziś nie może uwierzyć w to, co się stało. Stojąc nad otwartym grobem, nie jest w stanie pożegnać Kamili na zawsze. Stoi jak sparaliżowany. Z tego dziwnego odrętwienia budzi go dzwonek telefonu. To dom dziecka dopytuje, kiedy odbiorą Januszkę. Adopcja jest już dopięta na ostatni guzik. Pozostała jedna formalność. Formalność, gdyby sytuacja była taka jak wczoraj. Dziś Andrzej staje przed ogromnym dylematem: odebrać Januszkę, tak jak obiecał umierającej żonie, czy przyznać się przed urzędnikami, że Kamila nie żyje i tym samym skazać malca na dom dziecka.

Fabula powieści toczy się dwutorowo. Naprzemiennie poznajemy kolejne etapy znajomości Andrzeja i Kamili – od spotkania na Śnieżnych Kotłach, do pożegnania w szpitalu oraz aktualne wydarzenia, które rozpoczynają się od pogrzebu kobiety. Teraźniejszość trzyma w napięciu, przeszłość zaskakuje, rzucając co chwilę inne światło na bieżące wydarzenia. Obie części uzupełniają się i tworzą spójną całość. Chociaż to nie kryminał, to napięcie sięga zenitu,

a serce bije mocniej przy każdym zwrocie akcji.

Adopcja nie jest zbyt popularnym materiałem na powieść obyczajową, jednak K. Koziółek stworzył na kanwie tego problemu społecznego bardzo interesującą i znaczącą opowieść. Jestem pewna, że część czytelników zdecyduje się pogłębić swoją wiedzę po lekturze „Jej ostatniej prośby”, innych przynajmniej skłoni do dłuższej refleksji.

Ponieważ autor – jak zawsze – prac nad książką poparł bardzo wnikliwym reserchem, czytelnik – niejako między wierszami – znajdzie wiele konkretów i regulacji prawnych na temat adopcji. Wątpię np., by „przeciętny” czytelnik był świadom faktu, iż formalnie nie istnieją żadne przepisy uniemożliwiające adopcję samotnemu rodzicowi – bez względu na jego płeć. W praktyce można spodziewać się wielu przeszkód, by jednak do tego nie doszło. Mimo to uważam, że tylko od sprytu, wiedzy i determinacji takiego singla chcącego stworzyć dom maluchowi po przejściach zależy, czy mu się powiedzie. Co ciekawe (łamane na „zaskakujące” bądź „szokujące”) jeszcze nie miała miejsca taka sprawa. K. Koziółek opisuje sytuację bezprecedensową. Miłośnikom jego literatury jest powszechnie znane, że autor nieraz antycypował i „przepowiadał” zdarzenia z dalszej lub bliższej przyszłości.

„Jej ostatnia prośba” to literatura zaangażowana, wskazująca na konkretny problem społeczny, jakim jest nie tylko adopcja, ale i niemożność posiadania potomstwa (z takich czy innych względów), co jest osobistą tragedią wielu osób. Autor bardzo wnikliwie opisuje dramat takich rodziców oraz różne sposoby, by zmienić niepożądany stan rzeczy. Z drugiej strony możemy zobaczyć, jak dramatyczną jest

sytuacja wychowanków domów dziecka. Rodzic adopcyjny i adoptowane dziecko muszą wykazać się ogromnym zaufaniem, cierpliwością i determinacją, by stworzyć prawdziwą rodzinę, zapominając o dramatach przeszłości. I właśnie taką więź, która zaczyna się tworzyć między bohaterami książki opisuje K. Koziółek. Ukazanie psychiki zaniedbanego dziecka, ale i mężczyzny po przejściach, jest zobrazowane niezwykle trafnie i dogłębnie. Emocjonujące opisy niejednokrotnie wzruszają i chwytają za serce. Jak na autora kryminałów i thrillerów, zadanie wykonane wzorowo. Zaryzykuję stwierdzenie, że może wystarczy być „po prostu” dobrym pisarzem, by osiągnąć taki efekt.

To bardzo dobra powieść: wartościowa, wzruszająca, emocjonująca, refleksyjna historia, którą warto poznać, mimo iż niejednym raz pojawi się także złość i irytacja – szczególnie przy fragmentach dotyczących systemu zarządzania i złośliwych urzędników. Na szczęście, jeśli chodzi o bohaterów, autor zachował balans i można dostrzec także ich pozytywne strony oraz sprytnie sposoby na tę całą machinę biurokracji, co summa summarum mimo wszystko nastroja optymistycznie.



Krzysztof Koziółek, „Jej ostatnia prośba”, Manufaktura Tekstów, Zielona Góra 2024, 332 s.

O czarownicach i fabryce, których już nie ma

Izabela Korniluk i Igor Myszkiewicz są na co dzień pracownikami Muzeum Ziemi Lubuskiej. Interesuje ich przeszłość miasta, w którym pracują, czemu dali wyraz w swoich najnowszych publikacjach.

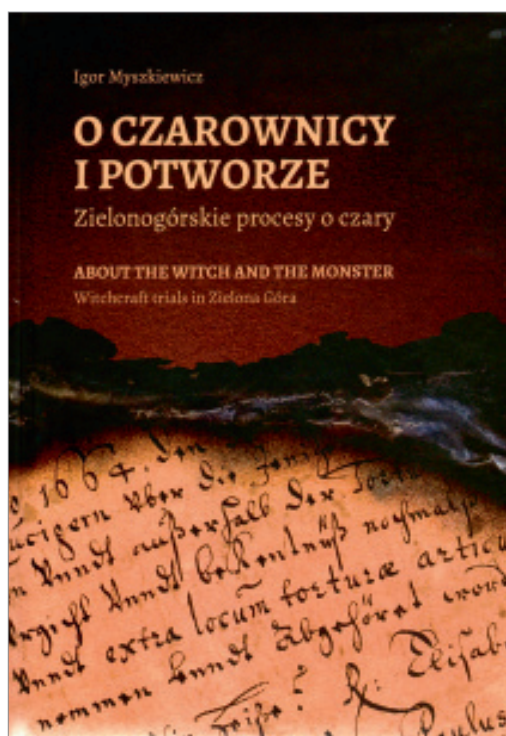
W polskiej literaturze naukowej temat czarów i czarownic cieszy się niesłabnącą popularnością, bez mała każdego roku wychodzi pozycja poświęcona tej tematyce. Jest to temat atrakcyjny nie tylko dla naukowców akademickich, ale też dla wielbicieli dziejów swojego regionu czy miasta. Historię czarownic z Zielonej Góry kilkakrotnie już opisano w sposób popularnonaukowy (przed i po 1945 roku), czasem nawet baśniowy, powstał też jej zarys w publikacjach akademickich. Brakuje jednak kompleksowego naukowego opracowania na ten temat.

Igor Myszkiewicz po raz kolejny podjął się stworzenia publikacji dotyczącej naszej zielonogórskiej przeszłości. Temat osób oskarżanych o czary interesował go już od dłuższego czasu. Dotarł do wielu źródeł książkowych, w tym do przedwojennych lokalnych kronik, w których wzmiankowano te wydarzenia; archiwaliów, np. do kartoteki procesów o czary stworzonej przez specjalnie utworzoną komórkę SS nazwaną H-Sonderkommando. Jednak największym atutem było to, że miał dostęp do oryginalnych protokołów procesowych z lat 1663-1665, przechowywanych w zielonogórskim muzeum. Miał też pomoc specjalistów, którzy potrafią odczytać dawne niemieckie pismo. I właśnie na tej kanwie mógł szczegółowo ukazać łańcuch tych procesów – ogniwo po ogniwo, uczynił to w drugiej części swojej pracy.

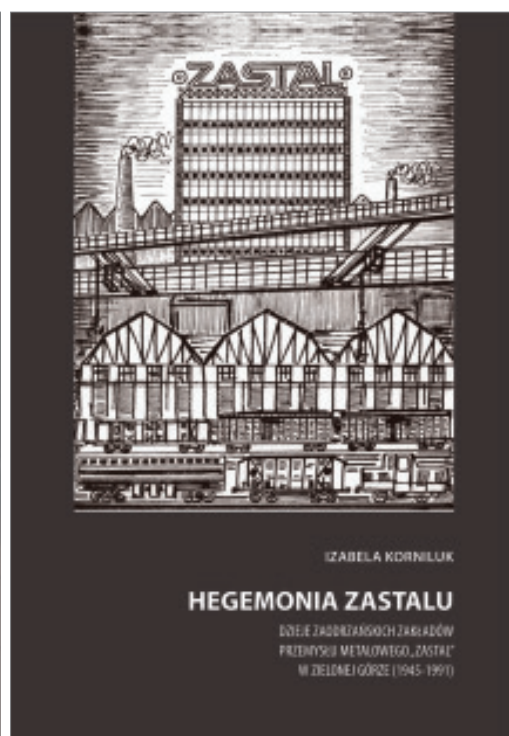
Oczywiście wydarzenia w Zielonej Górze nie były odosobnione w tamtym czasie. Polowania na czarownice odbywały się nie tylko w Europie, warto też przypomnieć sobie amerykańskie miasteczko Salem. Z tego powodu pierwsza część dzieła I. Myszkiewicza dotyczy źródeł i początków łowów czarownic, omawia ścieżki, jakimi podążały wyobrażenia na temat czarów w masowej wyobraźni, przenikanie się polityki i religii, kluczowe wydarzenia i dokumenty, akty prawne, bulle papieskie, traktaty demonologów i inkwizytorów. Autor przebadał też mechanizmy oraz charakterystyczne elementy postępowania sądowego przeciw osobom oskarżonym o czary.

ekspozycji zebrano tak wiele materiałów, że nie było możliwości udostępnić wszystkiego. Z tego powodu pojawił się pomysł, by niewykorzystane na wystawie źródła i ilustracje przedstawić w osobnej publikacji.

Książka składa się z dwóch części. Pierwsza to historia zakładu w ujęciu chronologicznym, od momentu jego założenia w 1876 r. przez Geорга Beuchelta, aż do zakończenia działalności w 1991, po transformacji ustrojowej państwa. Opisane tu zostały również takie aspekty funkcjonowania fabryki, jak opieka zdrowotna dla personelu, sport, wypoczynek i rekreacja, tworzenie pisma zakładowego „Zastalowiec”, a także – jak świętowano różne jubi-



Igor Myszkiewicz, „O czarownicy i potworze. Zielonogórskie procesy o czary”, Zielona Góra 2023, 392 s.



Izabela Korniluk, „Hegemonia Zastalu. Dzieje Zaodrzańskich Zakładów Przemysłu Metalowego „Zastal” w Zielonej Górze (1945-1991)”, Zielona Góra 2024, 204 s.

Książka wydana została w wersji polsko-angielskiej, posiada kalendarium, bibliografię i bogaty (często autorski) materiał ilustracyjny.

*

„Hegemonia Zastalu” jest pokłosiem wystawy zorganizowanej w Muzeum Ziemi Lubuskiej w 2019 roku. Jak stwierdziła autorka, podczas przygotowań do

leusze w Zastalu. Na część drugą składają się wywiady z jego pracownikami, które I. Korniluk zebrała od grudnia 2017 do października 2018 r., przygotowując wystawę. Rozmawiała czternaście osób, które poświęciły wiele lat własnego życia zawodowego, a nierzadko i osobistego, na pracę w tym ważnym dla Zielonej Góry przedsiębiorstwie.

AP-W

Tomasz Kowalski
Arkadiusz Cincio

Winiarz z Kresów Wschodnich

W powojennej historii Zielonej Góry istotną rolę odegrali przybysze z Kresów Wschodnich. Co ciekawe, w branży winiarskiej zatrudnienie znaleźli specjaliści z Podola, gdzie w okresie międzywojennym winiarstwo rozwijało się niezwykle dynamicznie. Najwybitniejszą postacią w tym gronie był niewątpliwie Grzegorz Zarugiewicz.

Urodził się 16 września 1884 roku w Kutach. Jego ojciec Bogdan, który pochodził z rodziny polskich Ormian, zajmował się drobnym handlem. Winiarstwem zainteresował się w wieku 14 lat, kiedy to w poszukiwaniu ojca trafił na winnicę, gdzie znalazł zatrudnienie. Można stwierdzić, że to będące dziełem przypadku zdarzenie zdeterminowało jego dalsze losy. G. Zarugiewicz ukończył gimnazjum w Brzeżanach. Jego zamiłowanie do winnej latorośli przyczyniło się do wyboru dalszego kierunku kształcenia. W 1908 r. ukończył studia winiarskie na uniwersytecie w Odessie. Następnie, aż do 1928 r. pracował na winnicach w Rumunii i Besarabii.

W 1929 r. przeniósł się wraz z drugą żoną i czterema córkami do Polski, osiedlając się w Zaleszczykach. W Wierzchniakowcach koło Borszczowa założył 10,5-hektarowe gospodarstwo rolne z sadem, plantacją wierzby oraz liczącą 6 ha winnicą tarasową. G. Zarugiewicz był także nauczycielem w Szkole Sadowniczo-Winiarskiej

w Zaleszczykach, jednocześnie pełniąc od 1930 r. stanowisko instruktora winiarstwa w Lwowskiej Izbie Rolnej. Dzięki jego doświadczeniu i charyzmie winiarstwo zaczęło się dynamicznie rozwijać na Podolu i Pokuciu. Swoją wiedzę na temat winorośli i produkcji wina przekazywał z niezwykłą pasją i zaangażowaniem. Odwiedzał miasta, wsie i dwory, gdzie wygłaszał wykłady, doradzając, jak prowadzić i pielęgnować winnice. Był propagatorem uprawy szlachetnych odmian winnej latorośli. Nie interesowała go uprawa winorośli deserowych i odmian hybrydowych. Duże znaczenie przykładał do jakości gron i sposobu ich przerobu. Swoje doświadczenia i przemyślenia zawarł w napisanej wspólnie z Gustawem Głazewskim książce „Krótki podręcznik uprawy winorośli w Polsce”, opublikowanej w 1933 r. Była to jedna z nielicznych polskojęzycznych prac o winiarstwie, po którą chętnie sięgano także w okresie powojennym. Można śmiało stwierdzić, że idee głoszone przez G. Zarugiewicza

przyświecają dziś większości winiarzy lubuskich, którzy preferują uprawę klasycznych odmian winorośli takich jak: Riesling, Traminer, Pinot Noir Sauvignon Blanc a nawet Chardonnay.

W 1945 r. G. Zarugiewicz jako wybitny specjalista z zakresu winiarstwa trafił do Zielonej Góry. 13 września 1945 r. Państwowy Urząd Repatriacyjny przydzielił mu winnicę na Górze Ceglanej przy ulicy Wrocławskiej. Decyzję tę anulowano w lutym 1946 r., gdy okazało się, że teren ten stanowi własność Państwowej Wytwórni Win Musujących „Grempler” w Zielonej Górze. W zamian za pozostawiony na Kresach majątek w marcu 1946 r. przydzielono mu 5,7 ha innych plantacji winnej latorośli. Piastował stanowisko dyrektora technicznego Lubuskiej Wytwórni Win. W latach 1946-1954 opiekował też winnicami należącymi do LWW. Do jego obowiązków zawodowych należał także nadzór nad pielęgnacją win importowanych.

Również zajmował się kształceniem kadr winiarskich. W 1947 r. w Zielonej Górze powstało Państwowe Liceum Sadowniczo-Winiarskie. G. Zarugiewicz nauczał w nim do 1952 r. uprawy winorośli. Do jego wychowanków należeli między innymi wykładowca akademicki dr Karol Gajewski i Stanisław Ostrowski – dyrektor zielonogórskiego oddziału Banku Gospodarki Żywnościowej. Oni to przyczynili się do odrodzenia się winiarstwa, działając aktywnie w założonym w 1994 r. Lubuskim Stowarzyszeniu Winiarskim. Po wojnie G. Zarugiewicz kontynuował również swoją działalność w zakresie popularyzacji uprawy winnej latorośli, pisząc książkę „Uprawa winnej latorośli (Winorośl) na wolnym powietrzu i przysłonach ścian budynkowych”, wydaną w 1948 r. w Poznaniu. Była to przez długie lata jedna z nielicznych publikacji dostępnych w polskich księgarniach i bibliotekach poświęconych uprawie winorośli.

W 1954 r. został oddelegowany do pracy w Warce, gdzie pielęgnował winnice nad Pilicą. Podczas pobytu w Warce żywo interesował się stanem zielonogórskich winnic, o czym świadczy korespondencja z jego zięciem Władysławem Sobolewskim.

Zmarł 10 marca 1956 r. w Zielonej Górze. 6 sierpnia 2013 r. Rada Miasta nadała jego imię ulicy w pobliżu Palmiarni. Jego grób znajduje się cmentarzu komunalnym w Zielonej Górze.



fot. Archiwum Ilony Matusz-Tokarczyk

Grzegorz Zarugiewicz (siedzi w środku) – 1884-1956 – wraz ze swoimi uczniami

Nie próbuję udowodnić swojej ważności

ROZMOWA Z ZIELONOGÓRZANINEM GEN. DR. SŁAWOMIREM WOJCIECHOWSKIM - PRZEDSTAWICIELEM POLSKI W KOMITETACH WOJSKOWYCH NATO I UNII EUROPEJSKIEJ

– Od maja 2024 roku jest Pan czterogwiazdkowym generałem w Wojsku Polskim. Czy to spełnienie marzeń z dzieciństwa?

– Nikt nie chce mi wierzyć, że idąc do wojska po prostu nie miałem lepszego pomysłu na siebie. Delikatnie mówiąc, nie byłem zbyt rewelacyjnym uczniem, dziś oceniam, że na pewno leniwym. Byłem co prawda wysportowany, ale nie na tyle pewny siebie, by wystartować na AWF czy inne studia tego typu. Któregoś dnia pojechałem więc do Świnoujścia do Wojskowej Komendy Uzupełnień i powiedziałem, że chcę się zapisać do wojska. Do szkoły wojskowej. To był 1983 rok.

– Jaka to była uczelnia?

– Wybrałem Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Obrony Przeciwlotniczej w Koszalinie, choć zwykle w takich chwilach wielu myślało najpierw o Wrocławiu. W moim wypadku zdecydowała odległość od rodzinnego domu. No i oczywiście dziewczyna, a obecnie żona. Koszalin stał się na pewien czas moim drugim miejscem w życiu. Po ukończeniu studiów byłem dowódcą pododdziałów kandydatów na oficerów.

– Czy zdając na taki kierunek studiów myślał Pan, że kiedyś zostanie generałem?

– W życiu! Przede wszystkim chciałem znaleźć swoje miejsce w systemie. Po drugie, na początku nie widać kariery dalej, jak na dwa stopnie. Jak jest się podporucznikiem, porucznikiem, to marzy się kapitan, a major to już kosmos. I nawet jak następowały te awanse, to nie miałem przekonania, że mam jakąś buławę. To nie mój przypadek. Zresztą wielu z tych, którzy zamierzali lub planowali zostać generałami, nie zostali nimi.

– Która nominacja miała dla Pana najważniejsze znaczenie?

– Największe znaczenie miały nominacje zaskakujące. Może się to wydawać dziwne, ale żadnej z nich nie otrzymałem 15 sierpnia, gdy zwyczajowo są wręczane. Majorem zostałem niespodziewanie. Po dużym ćwiczeniu na poligonie zawieziono nas do Warszawy, gdzie minister Onyszkiewicz wręczył nam akty mianowania. Zresztą każda z nominacji miała swój koloryt i zabarwienie emocjonalne. Żadna nie przychodziła

lekką i przyjemnie, nie wynikała z oczekiwania, raczej spływały jako forma uznania. Chciałoby się zawsze, by to, co robimy, przynosiło rezultaty.

– Za tymi sukcesami stoi określona praca. Jak się do tego dochodzi? Czy stoją za tym codzienne nawyki, wytyczanie planów, a może łut szczęścia?

– Kiedyś spotkałem się z opinią, że istotą osiągnięcia sukcesów jest nie robienie rzeczy dla jako takiego uznania. Chodzi o to,

aby działać z zasady dla jak najlepszego rezultatu, a uznanie być może przyjdzie później. To podejście w jakimś sensie uczyniłem swoim pryncypium. Podejmowałem się robienia rzeczy, które innym na starcie mogły wydawać się spalone. Być może było tak, że nie wiedziałem, iż się nie da. Luźną i zabawną interpretacją tego podejścia niech będzie przykład Andrzeja Szarmacha, o którym ktoś powiedział, że był skutecznym napastnikiem, ponieważ wstawiał głowę tam, gdzie inni cofali nogę. Ryzykował często. Mnie się chyba to często również zdarzało.



Gen. dr Sławomir Wojciechowski: – Podczas pełnienia funkcji dowódcy pułku w Czerwieńsku zaproponowałem przełożonym, by do jego nazwy dodać przymiotnik „zielonogórski”.

– Po studiach był Pan związany z macierzystą uczelnią. Potem dodatkowe studia dowódczo-sztabowe w Akademii Obrony Narodowej. Od 1995 do 1998 służba w brygadzie pancernej w Trzebiatowie. W marcu 1999 Polska wchodzi do struktur NATO, a Pan otrzymuje rozkaz przeniesienia do podzielonogórskiego Czerwieńska i zostaje dowódcą ważnej jednostki. Czy to się jakoś łączyło?

– Decyzja o przeniesieniu zapadła w styczniu. Pułk w Czerwieńsku był pierwszą jednostką, która miała nowe struktury, poza tym wyznaczono go do wchodzenia w struktury NATO. Jego zadaniem było przecieranie szlaków. Kontakt z armiami zachodnimi został nawiązany jakieś siedem lat wcześniej. W 1995 i 1996 cały czas ćwiczyliśmy z jednostkami amerykańskimi w ramach Partnerstwa dla Pokoju. Wstąpienie do Paktu Północnoatlantyckiego było wejściem do elitarnego klubu, za nim podążały kolejne wyzwania: odpowiednie systemy łączności, zdolność do komunikacji, konieczność inwestowania w rzeczy, na które nie było nas stać, bo byliśmy po

krzysie i w trakcie zmiany systemowej. W tamtej chwili to były dwa różne światy, słabo do siebie pasujące.

– *Wstąpienie do NATO wiązało się również ze zobowiązaniami, jakie nasze państwo podjęło. Był Pan szefem Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Iraku w 2005 roku i Afganistanie w 2011. Jakież spostrzeżenia po tych misjach?*

– Często wraca pytanie: po co tam pojechaliśmy? Na każdej z tych misji zostawiliśmy kilkudziesięciu zabitych i kilkuset rannych. To doświadczenie jest dziś źródłem refleksji nad sensem różnych poczynań. Bo taki akt nie jest zerojedynkowy, jak w przypadku obrony ojczyzny. Tam nie było przeciwnika. Wyzwaniem dla mnie było zmotywowanie żołnierzy, utrzymanie ich morale, dyscypliny. Czuwanie nad tym, by nie popadli w rutynę, nie „nadreagowali” i nie zrobili krzywdy cywilom. Cała złożoność ludzkich relacji. Oczywiście też konflikty, konflikciki, relacje ze stolicą, otoczeniem.

– *W najnowszym budżecie Polski zaplanowano zwiększenie nakładów na wojsko do 4 procent PKB. Z punktu widzenia cywila to dość znaczna podwyżka.*

– Zwiększenie wydatków na obronność kraju trzeba widzieć w kontekście braków, zaniedbań inwestycyjnych w przemysł zbrojeniowy, remonty, ale też zmian kursów walut, inflacji i przede wszystkim ludzi. Żołnierzy nie da się kupić w supermarkecie. Nawet jak ich się nabierze z ulicy, to trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że wyprodukowanie takiego generała jak ja, zajmuje około czterdziestu lat. Procesy przygotowania ludzi są skomplikowane i ich selekcja musi być szczegółowa. Do tego jest konkurencja na rynku cywilnym. Trzeba zrobić wszystko, by do wojska przychodzili najlepsi. Same pieniądze to nie wszystko. Jesteśmy w takiej sytuacji, że PKB powinno wzrastać, a armia powinna być liczniejsza i posiadać takie zabezpieczenie, jakby konflikt miał być naprawdę za chwilę. Zresztą jest tuż za naszą granicą.

– *Tu na zachodzie Polski zdecydowanie mniej odczuwamy zagrożenie niż ludzie na ścianie wschodniej.*

– Z tamtej perspektywy można bardziej to odczuwać, co zdecydowanie związane jest z odległością od zagrożenia. Nie ma wątpliwości, że wszyscy, bez względu na odległość w jakiej się znajdujemy, możemy mieć te same kłopoty. I jeszcze jedno. Pamiętajmy, że ktoś kiedyś podjął śmiałą decyzję, żeby wejść do NATO. Ktoś inny się mocno zawniósł, był odważny i miał wizję, choć sporo to nas kosztowało. A teraz, ćwierć wieku później – wow! Mamy inne poczucie bezpieczeństwa, będąc w strukturach Paktu Północnoatlantyckiego. Po 25 latach możemy powiedzieć, że ta decyzja przynosi rezultaty.

– *Panuje przekonanie, że gdy żołnierz osiąga sukces, to kończy w Warszawie. Proszę powiedzieć, dlaczego zdecydował się Pan na osiedlenie w Zielonej Górze?*

– Jak na żołnierza to nawet często się nie przeprowadzałem. Dwa razy z żoną mieszkaliśmy za granicą, no i ze cztery przeprowadzki tu, w kraju. To nie dwanaście, czternaście, osiemnaście, jak u innych. Decyzja o pozostaniu w jednym miejscu zapadła z uwagi na dobro córek. Jedna miała iść do ogólniaka, druga do gimnazjum. Poprzednio obie uczyły się za granicą i ciągle musiały coś nadrabiać. No i wyszło nam, że Zielona

Góra to miasto ani za duże, ani za małe. Kiedyś jeden z moich przełożonych powiedział, że tu są ludzie przyjaźni, sympatyczni, fajni. Dodatkowo Zielona Góra jest dobrze położona. Do Pragi, Krakowa, Berlina niedaleko. Dwie dekady temu miałem takie przekonanie, że jeżeli już zostałem dowódcą pułku, to niewiele mnie czeka. Proszę mi wierzyć, że byłem kilka razy w sytuacjach, kiedy już widziałem metę swojej służby. Wtedy wyszło, że tak mało zostało mi do końca służby, więc zostaję w Zielonej Górze. I dlatego już stąd się nie ruszamy.

– *A jak dziś przyjeżdżają goście, to gdzie ich Pan zabiera?*

– Zielona Góra nie jest akurat po drodze dla wszystkich gości, ale gdy już mnie odwiedzają, to zabieram ich przede wszystkim do Zatonia, bo jest tam fantastycznie i blisko. Z tymi, którzy wizytują miasto po raz pierwszy, zawsze idę do centrum. Muszę przyznać, że zielonogórski deptak był pierwszym tego typu, który zobaczyłem. Zamknięte ulice, po których można chodzić, to wyjątkowa sprawa. Co prawda na żużel jeszcze nigdy nie poszedłem, ale to już z innych względów. Pokazuję też okolice bliższe i dalsze, na przykład Łagów, no i oczywiście Międzyrzeczki Rejon Umocniony.

– *Czy po przejściu w stan spoczynku Pan tu zostanie?*

– Nigdzie się nie wybieram. Tu żona i ja mamy znajomych, przyjaciół, kontakty. Wierzę, że nasze cygańskie życie wówczas się odmieni. Proszę wyobrazić sobie, że w naszym domu mieszkamy już dwanaście lat, ale w nieprzerwanym ciągu dni nie więcej niż miesiąc. To mówi samo za siebie. Bywam zapraszany na różne wydarzenia, ale nie próbuję udowodnić swojej ważności. Jak nadejdzie czas, to Zielona Góra sama mnie znajdzie. Mam już na swoim koncie małą zasługę wobec miasta – podczas pełnienia funkcji dowódcy pułku w Czerwieńsku zaproponowałem przełożonym, by do jego nazwy dodać przymiotnik „zielonogórski”. I stąd od 1999 roku jednostka nosi nazwę 4 Zielonogórski Pułk Przeciwlotniczy.

– *Wykonuje Pan bardzo odpowiedzialne zadania, poświęcając pracy po kilkanaście godzin dziennie. Proszę powiedzieć, w czym znajduje Pan odpoczynek?*

– Dużo czasu na odpoczynek nie ma. Bo to jest dwanaście godzin w pracy, od rana do wieczora. Mam mnóstwo funkcji oficjalnych. Wszystko dzieje się na bardzo wysokich obrotach. Jak mówi moja żona, już nie umiem czytać innych książek niż literaturę faktu. Ale i te dziubię sobie po kawałku. Co ciekawe, sporo satysfakcji sprawiło mi pisanie doktoratu. Przyjemność przynosi mi praca dydaktyczna. Na przykład podczas pełnienia funkcji dowódcy Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego w Szczecinie byłem aktywnym wykładowcą na tamtejszym uniwersytecie. Później, będąc w Brukseli, byłem czynnym profesorem Akademii Sztuki Wojennej w Warszawie. Teraz w odreagowaniu pomagają mi aktywne spacery z naszym wilczurem. A jak już jesteśmy w domu, to praca w ogrodzie, gdzie zawsze jest coś do zrobienia.

– *Dziękujemy za rozmowę i po przejściu na emeryturę zapraszamy Pana generała do naszego stowarzyszenia.*

Alicja i Ryszard Błażyński

To rewelacyjne miejsce z ogromnym potencjałem

ROZMOWA Z DR. RAFAŁEM KŁOCZKĄ – DYREKTOREM FILHARMONII ZIELONOGÓRSKIEJ

– 1 września 2021 roku został pan dyrektorem filharmonii w Zielonej Górze. Czy pan pamięta pierwsze spotkanie z tą instytucją?

– To był lipiec, rozmowa konkursowa. Wieczorem, po wszystkim, poszedłem na spacer wokół filharmonii i... zachwyliłem się architekturą najstarszego budynku. Później, już po podpisaniu umowy, zostałem oprowadzony po wnętrzu, poznałem część osób z załogi. Dowiedziałem się też, że filharmonia została zalana podczas ulewy. Uświadomiłem sobie, że przede mną nie tylko praca artystyczna i administracyjna, ale także bardzo dużo zadań związanych z rozbudową i remontami. Moje pierwsze wrażenie po poznaniu pracowników było takie, że wszyscy traktują to miejsce jako wspólne dobro.

– Miał pan jakieś oczekiwania czy marzenia przed rozpoczęciem pracy w Zielonej Górze?

– Mnóstwo oczekiwań! Nie wiem, czy więcej miałem ich w stosunku do siebie, czy do współpracowników. Zależało mi, aby na afiszach pojawiły się nazwiska wielkich symfoników: Mahlera, Sibeliusa, Richarda Straussa. Postawiłem sobie za cel, by zbudować arkę, która przyciągnie największe gwiazdy światowego formatu, czego efektem jest choćby koncert z Aleksandrą Kurzak. Zależało

mi, by stworzyć cykle koncertowe, festiwale, które będą wyróżniać naszą instytucję. Miesiąc Kobiet, Weekend z Niepodległą czy Festiwal im. Tadeusza Bairda to wydarzenia, które nie tylko natychmiast zapełniają sale, ale i odbijają się szerokim echem w świecie muzycznym. No i coś, co jest dla mnie najważniejsze, to oferta edukacyjna i prospołeczna dostosowana do potrzeb i konkretnych grup wiekowych.

dom pełen zaangażowanych ludzi i wspaniałych artystów, którzy potrafią mnie wzruszyć podczas koncertów, a nie jest to łatwe. Lubię tu być. Lubię rozmawiać z publicznością, uśmiechać się do portierów, zerkać, czy w bufecie jest już kolejka chętnych na kawę przed koncertem. Zielona Góra to piękne miasto. Pochodzę z Torunia, więc mam sentyment do starej, niemieckiej zabudowy. A kiedy potrzebuję trochę więcej

natury, biorę auto i zwiedzam województwo lubuskie. Myślę, że nie starczy mi życia, by poznać wszystkie magiczne zakamarki.

– Zielona Góra już stała się pana drugim domem?

– Zdecydowanie tak. A na pewno jest moim muzycznym domem numer jeden. Oczywiście, że nadal działam jako artysta w różnych ośrodkach, ale swoją energię koncentruję w Zielonej Górze. Dopóki nie skończę spraw związanych z filharmonią na dany dzień, nie zajmuję się prywatnymi działaniami artystycznymi. Mam nienormowany czas pracy, co oznacza, że nie siedzę w biurze od do. Jest mnóstwo spraw do załatwienia w innych miastach. Nawiązywanie kontak-

tów, szukanie funduszy, poszukiwanie innych rozwiązań, szkolenia czy reprezentowanie filharmonii na oficjalnych wydarzeniach jest czasochłonne



Dr Rafał Kłoczko: – Nigdy nie jestem do końca zadowolony.

fol. Wojciech Grzędziński

– Co teraz przychodzi do głowy, gdy myśli pan o filharmonii?

– Że to rewelacyjne miejsce o ogromnym potencjale. Że to mój muzyczny

i absorbujące. To część mojej pracy. Chcę, byśmy byli zauważani.

– *Pana życie to bieg, więc cały czas trzeba być online. Czy dla pana są social media?*

– Są kluczowym źródłem komunikacji.

– *A jak wygląda obecność filharmonii w mediach społecznościowych?*

– Jeżeli chodzi o starszą publiczność, to nadal stosujemy reklamy outdoorowe, plakaty i ulotki... Swoją drogą, jestem dumny z jakości plakatów i afiszy, które prezentujemy. Mamy znakomitą graficzkę, a każdy plakat to małe dzieło sztuki, nad którym pracuje kilka osób. Zależy mi, by każdy był atrakcyjny, by był ozdobą na ścianie.

– *A media społecznościowe pomagają dotrzeć do pokolenia moich rodziców i młodszych?*

– Z Facebooka uciekły już młodsze pokolenia. Myślałem, że tylko na Instagrama i TikToka, ale zaczynam zauważać, że to nie jest takie oczywiste. Na Instagramie operuje się już dzisiaj relacjami, a nie zdjęciami pełnymi opisów i hashtagów. Mamy kilka sekund, by zainteresować i zatrzymać odbiorcę. Plus to ciągła obecność w mediach, ciągła aktualizacja danych, przypomnienie o sobie, ale za każdym razem w inny sposób, innym ujęciem itd.

– *Pan ma doświadczenie z pracy i studiów za granicą. Czy tam obserwował pracę instytucji w mediach społecznościowych?*

– Pracowałem głównie w Salzburgu, w operze wiedeńskiej i w operze w Brukseli. To są instytucje, które nie potrzebują reklamy. Każdy, kto interesuje się światem muzyki klasycznej, zna te miejsca. Tam media społecznościowe działają znakomicie, ale chyba gdyby ich nie było, to i tak wszystko nadal świetnie by funkcjonowało. Oczywiście oni mają inne środki, oni robią takie reelsy, o których nam się nie śni. U nich zrobienie różnych challenge'ów, na przykład zamrożenie orkiestry (to chyba jedna z pierwszych inicjatyw challenge'ów, w które włączył się świat muzyki klasycznej), było oczywiste. Mają sztab ludzi, którzy rano profesjonalnie nagrają fragmenty prób, a wieczorem mają znakomity film. My musimy szukać pieniędzy na promocję,

obserwować, co działa. Niekiedy metodą prób i błędów, ale ważne, by wyciągać wnioski. Dlatego staramy się słuchać publiczności, zbierać ankiety czy prowadzić konsultacje na temat tego, co melomanów interesuje.

– *Pomyśl się, jeżeli powiem, że pan jest zadowolony z tego, jak działają media społecznościowe w filharmonii?*

– Nigdy nie jestem do końca zadowolony. Zawsze uważam, że dałoby się coś zrobić lepiej, szybciej, efektywniej. Już wkrótce będziemy mieć na etacie osobę zajmującą się mediami społecznościowymi. Wydaje mi się, że odbiorców interesuje teraz, by zajrzeć do instytucji „od kuchni”. Dlatego potrzebny jest ktoś, kto będzie mógł wejść za kulisy, bo będąc na miejscu po prostu ma na to czas. W zeszłym roku mieliśmy serię postów, jako przedstawianie naszej orkiestry: zdjęcia z sesji, notka biograficzna, parę pytań.

– *Czy pan czasem czuje się zmęczony tym wszystkim?*

– Ja to lubię od dziecka. Gdy przychodzili goście do rodziców, to spraszałem wszystkich do siebie, by oglądali przygotowane przeze mnie minispektakle. Uwielbiałem coś organizować, stąd zamiłowanie do zarządzania, zainteresowanie rachunkowością czy entuzjazm w przygotowywaniu planów czy jakichś zestawień. Kierowanie instytucją, a więc i odpowiedzialność za zatrudnionych w niej ludzi, to ogromne wyzwanie. Nie mogę sobie pozwolić na gorszy dzień. A z drugiej strony to, co otrzymuję w zamian, jest tego warte.

– *I pytanie na koniec: czy jest pan zadowolony z ostatniego sezonu i tego, co udało się zrobić?*

– Dokończyliśmy inwestycję, gościliśmy dziesiątki artystów światowej klasy, zmierzaliśmy się z największym reperduarem. Jak tu nie być zadowolonym z prawykonania wielu dzieł wybitnych twórców, pełnych sal koncertowych, stworzenia cyklu dedykowanego seniorom? Sezon był naprawdę udany.

Nadiia Zaichenko

W naszym imieniu

Od 15 października 2023 do 9 czerwca 2024 r. odbywały się wybory – najpierw do Sejmu i Senatu, potem do samorządów województwa, powiatów, gmin oraz miast, na koniec do Parlamentu Europejskiego. Oto ci radni i parlamentarzyści, którzy z upoważnienia Lubuszan, w tym i zielonogórczan, mogą podejmować decyzje (stan na 15 października 2024 r.).

WŁADZE ZIELONEJ GÓRY

Przewodniczący Rady Miasta – Adam Urbaniak (Koalicja Obywatelska), wiceprzewodniczący – Jacek Budziński (Prawo i Sprawiedliwość), Joanna Malon (KO) i Tomasz Sroczyński (Zielona Razem), członkowie – Piotr Barczak (PiS), Radosław Brodzik (KO), Marek Budniak (PiS), Andrzej Chłopek (KO), Agnieszka Chyrc (KO), Jacek Frączak (KO), Robert Górski (ZR), Filip Gryko (ZR), Dorota Kaspryszak (KO), Rafał Kasza (niezrzeszony), Robert Kornalewicz (KO), Wiesław Kuchta (ZR), Dariusz Legutowski (KO), Joanna Lid-dane (KO), Grzegorz Maćkowiak (PiS), Krystyna Magdziarek (KO), Janusz Rewers (KO), Bożena Ronowicz (PiS), Elżbieta Smykał (KO), Paweł Wysocki (ZR) i Eliza Zaborowska-Kujawa (KO)
Prezydent – Marcin Pabierowski, zastępcy prezydenta – Paweł Tonder, Jarosław Flakowski i Marek Kamiński

SEJMIK WOJEWÓDZTWA LUBUSKIEGO

Przewodnicząca – Anna Synowicz (Koalicja Obywatelska), wiceprzewodniczący – Anna Chinalska (Trzecia Droga PSL-PI2050), Elżbieta Płonka (Prawo i Sprawiedliwość) i Edward Fedko (TD PSL-PI2050), członkowie – Tadeusz Ardelli (PiS), Jakub Ast (PiS), Sebastian Ciemnoczołowski (KO), Zofia Dajczak (PiS), Jarosław Dowhan (KO), Tomasz Gierczak (KO), Paweł Giza (KO), Małgorzata Gośniowska-Kola (PiS), Marek Hałas (TD PSL-P2050), Hubert Harasimowicz (KO), Marcin Jabłoński (KO), Roman Jabłoński (PiS), Zbigniew Kołodziej (TD PSL-P2050), Zbigniew Kościk (PiS), Sławomir Kotylak (KO), Jacek Kurzępa (PiS), Alicja Makarska (KO), Bogusław Motowidełko (PiS), Irena Osos (KO), Małgorzata Paluch-Słowińska (KO), Elżbieta Olga Polak (KO), Grzegorz Potęga (KO), Tomasz Siemiński (TD PSL-P2050), Leszek Turczyniak (KO), Andrzej Wieczorek (PiS) i Jerzy Wierchowicz (KO)
Marszałek województwa – Marcin Jabłoński, wicemarszałkowie – Sebastian Ciemnoczołowski i Grzegorz Potęga, członkowie zarządu – Zbigniew Kołodziej i Jacek Urbański

PARLAMENT RZECZYPOSPOLITEJ

Posłowie – Marek Ast (PiS), Władysław Dajczak (PiS), Robert Dowhan (KO), Anita Kucharska-Dziedzic (Lewica), Jerzy Materna (PiS), Łukasz Mejza (PiS), Maja Nowak (Polska2050-TD), Katarzyna Osos (KO), Elżbieta Anna Polak (KO), Krystyna Sibińska (KO), Waldemar Ślugocki (KO) i Stanisław Tomczyszyn (PSL-TD)
Senatorowie – Władysław Komarnicki (KO, Gorzów), Mirosław Różański (Trzecia Droga, Zielona Góra) i Wadiom Tyżkiewicz (Niezależni i Samorządni, Nowa Sól)

PARLAMENT EUROPEJSKI

Posłowie – Bartosz Arłukowicz (KO) i Joachim Brudziński (PiS)

Joanna Kapica-Curzytek

Mam dwie małe ojczyzny

Najpierw w życiorysie mam... oczekiwanie na pociągi z Winnego Grodu. W mieście, gdzie studiowaliśmy ja i mój przyszły mąż, spotykaliśmy się na początku każdego tygodnia na dworcu kolejowym. Przyjeżdżałam pierwsza, a kilkanaście minut później z pociągu z Zielonej Góry wysiadał mój narzeczony. Potem razem szliśmy na uczelnię.

Po studiach zostaliśmy małżeństwem i w Zielonej Górze podjęłam pracę na stanowisku lektorki języka angielskiego. Do Studium Języków Obcych w Wyższej Szkole Inżynierskiej przyjmował mnie ówczesny kierownik jednostki mgr Józef Kłyszewicz. Choć dzisiaj to nie do uwierzenia, pracę w moim zawodzie można było w tamtym czasie mieć wszędzie. Ale przeważyło to, że wraz z zatrudnieniem uczelnia zaoferowała nam mieszkanie w hotelu asystenckim przy ul. Podgórnjej. Dla nas, młodych ludzi, był to wymarzony życiowy start!

Przeprowadzić się do miasta, a poznać je i uznać za swoje, bliskie sercu – to są dwie różne rzeczy. Z biegiem czasu Zielona Góra wraz z jej historią i kulturowym pejzażem stawała mi się coraz bliższa. Teraz mogę z przekonaniem powiedzieć, że mam dwie małe ojczyzny – Zieloną Górę i miejsce mojego urodzenia: Racibórz, z którym nadal utrzymuję bliskie kontakty rodzinne i naukowe.

Z miłym zdziwieniem stale odkrywam, ile historycznych powiązań, choćby tylko symbolicznych, łączy oba te miasta i ich okolice... Niedaleko Raciborza, w Łubowicach, urodził się wielki poeta języka niemieckiego doby romantyzmu Joseph von Eichendorff. Miał bogaty życiorys, wiele podróżował, także po terenach dzisiejszej Ziemi Lubuskiej i Brandenburgii. Obracał się w kręgach wspólnych z Heinrichem von Kleistem, urodzonym we Frankfurcie nad Odrą, równie wielkiej postaci literatury niemieckiej. W trzynastowiecznym Raciborzu dwa lata życia spędził jako przeor raciborskiego klasztoru dominikanów Wincenty z Kielczy, twórca pieśni „Gaude mater Polonia”, która rozbrzmiewa na uczelniach w całej Polsce podczas inauguracji roku akademickiego. Z tym większym wzruszeniem jej słucham, uczestnicząc w uroczystościach na Uniwersytecie Zielonogórskim, gdzie pracuję. W Zielonej Górze i w Raciborzu tej samej nocy w 1938 roku płonęły synagogi. Rodzina mojej babci (ze strony ojca) wywodzi się z ziem na terenach dzisiejszych Czech i Polski, których wieloletnimi właścicielami był ród książąt o nazwisku Lichnowsky. Jednym z nich był Felix von Lichnowsky, ostatnia wielka miłość Doroty de Talleyrand Périgord, księżnej zagańskiej i posiadaczki pałacu w Zatoniu. Felix zginął tragicznie, a po jego śmierci Dorota przez krótki czas była właścicielką wspaniałej siedziby tego rodu, zamku w Hradcu nad Morawicą niedaleko Opawy, oddalonego od Raciborza o około 40 km. Od dzieciństwa było to dla mnie jedno z ulubionych i ważnych miejsc tworzących moją małą ojczyznę.

Z Zieloną Górą łączą mnie także oczywiście współcześnie żyjący i bliscy ludzie.

Tutaj urodziła się moja córka Barbara.

Naszym ulubionym miejscem na spacer, pikniki i zabawy od zawsze było lotnisko w Przylepie, gdzie dziadek Basi,

a mój teść Tadeusz, przepracował wiele lat jako pilot, a następnie mechanik w Lotniczym Pogotowiu Ratunkowym. Mama mojego męża, Irena pracowała jako pielęgniarka w kolejowej służbie zdrowia. Cieszę się, że zawodowo udało mi się niejako wpasować w rodzinną tradycję: od kilku lat wykładam język angielski medyczny w Collegium Medicum na Uniwersytecie Zielonogórskim.

Z czasem moja rodzina polubiła wyjścia do Lubuskiego Teatru, a przede wszystkim do Filharmonii Zielonogórskiej, gdzie od lat mamy bilety abonamentowe i swoje stałe miejsce. Przez kilka lat współpracowałam z Akademickim Radiem Index, przygotowując między innymi recenzje oraz relacje ze spektakli teatralnych i koncertów. Nigdy nie narzekałam, że „w mieście nic się nie dzieje”, co można było nieraz usłyszeć. Przeciwnie, dzieje się na tyle dużo, że czasami trudno się zdecydować, co z bogatej oferty kulturalnej wybrać. Sama też współtworzę niektóre wydarzenia; Wojewódzka i Miejska Biblioteka im. C. Norwida zaprasza mnie do prowadzenia spotkań autorskich. Jestem też w gronie osób stale współpracujących z Lubuskim Pismem Literacko-Kulturalnym „Pro Libris”.

Gdy przyjeżdżają do nas goście spoza miasta, pokazujemy im Palmiarnię. I wszyscy bez wyjątku - nawet ci, którzy na świecie widzieli już niejedno! – są nią oczarowani i zachwyceni panoramą miasta widzianą z tarasu widokowego. A ja jestem po prostu dumna, że tu mieszkam i mogę się z nimi choć na chwilę podzielić pięknem Zielonej Góry. Pamiętam, gdy po raz pierwszy byłam w Palmiarni – na mnie też zrobiła wrażenie! Mój mąż (dyskretnie) pokazał mi wtedy jej stałego bywalca, pana Henryka Ankiewicza, Andabatę. Z jego „Przechadzek zielonogórskich” pilnie uczyłam się Zielonej Góry. To jedna z moich najwcześniejszych lektur o mieście, w którym przyszło mi zamieszkać.

Pierwsze refleksje dotyczące Zielonej Góry jako miasta, z którym można nawiązać uczuciowe relacje, zawdzięczam pani Gudrun Lintzel. Urodziła się w naszym mieście przed wojną, chodziła tu do szkoły podstawowej. Wraz z rodziną została po wojnie wysiedlona do Niemiec. Po przejściu na emeryturę, w latach 90. XX wieku przyjechała do Polski i podjęła pracę jako lektorka języka niemieckiego na Politechnice Zielonogórskiej, bardzo mocno angażując się w budowanie zaufania między Niemcami a Polską. Była moją koleżanką z pracy, ale też i nauczycielką języka. Pani Gudrun często opowiadała mi o mieście widzianym jej oczyma: Zielona Góra na zawsze pozostała dla niej kameralnym miastem ogrodów, parków, winnic i winiarzy, jakie znała z dzieciństwa. Wspólnie z nią przeszłam niejedną ulicę w Zielonej Górze; jestem współautorką reportażu prasowego (opublikowanego w ogólnopolskim wydaniu „Gazety Wyborczej” nr 66/2001), którego bohaterką jest Gudrun Fintzel.



fot. Archiwum prywatne

JOANNA KAPICA-CURZYTEK pochodzi z Raciborza, jest absolwentką Uniwersytetu Łódzkiego na kierunku filologia angielska i studiów doktoranckich na Uniwersytecie Palackeho w czeskim Ołomuńcu, gdzie uzyskała stopień doktora nauk humanistycznych. W Zielonej Górze mieszka od lat 90., pracuje jako adiunkt na Uniwersytecie Zielonogórskim. Ma na swoim koncie kilkadziesiąt publikacji (rozdziały w monografiach, artykuły) oraz uczestnictwo w kilkudziesięciu konferencjach naukowych. Interesuje się muzyką klasyczną, sportem (również aktywnie) oraz naukowym ujęciem problemów współczesnego świata. Kilka lat uczyła się śpiewu.

Zielona Góra to miasto, w którym ważne są również **wątki związane z sąsiedztwem polsko-niemieckim.**

Znakomicie się tutaj wśród tego odnalazłam, bo i mój rodzinny Racibórz to miejsce przenikania się obu tych kultur (wraz z pograniczem polsko-czeskim). Wspólne rozdziały historii Niemiec i Polski są nieraz bolesne, wiedziałam o tym od zawsze, bo nie brakowało tych trudnych tematów także w mojej rodzinie, od pokoleń opowiadającej się za polskością. Powojenne losy obu bliskich mojemu sercu regionów zaliczanych do tak zwanych Ziem Zachodnich były wręcz traumatyczne. Została zerwana ciągłość kulturowa i pokoleniowa, dużo było kwestii, o których przez lata nie było można lub nie chciano mówić.

Jednak w miarę upływu czasu, a zwłaszcza po dołączeniu Polski do Unii Europejskiej, Niemcy i Polska prowadzą dialog na równej, partnerskiej płaszczyźnie. Dlatego tak ważne jest, aby nie zaniedbywać kwestii dotyczących edukacji lokalnej i międzykulturowej. Przez jakiś czas prowadziłam zajęcia z tych przedmiotów na Uniwersytecie Zielonogórskim, dzieląc się z moimi studentami tym, czego sama się nauczyłam. I to nie tylko w teorii, ale i w praktyce.

Bo przecież dobre sąsiedztwo daje się dostrzec również w licznych działaniach i kontaktach lokalnych, osobistych. Z wielką radością do nich się włączam. Od 2017 r. jestem członkinią zielonogórskiej filii światowej organizacji charytatywnej Kiwanis. Nasz zielonogórski Klub Kiwanis Adsum od ponad 20 lat współpracuje z Klubem Kiwanis z Frankfurtu nad Odrą, wspólnie podejmując inicjatywy na rzecz dobra dzieci, a także inicjując osobiste spotkania, przeradzające się w przyjaźnię między uczniami niemieckimi a polskimi. To dla mnie ogromnie ważne pole aktywności. Z koleżankami z Kiwanisu łączą mnie zażyłe relacje, co dodatkowo utrwala moje serdeczne więzi z miastem, sprawia też, że stale na nowo Zieloną Górę odkrywam i poznaję. I coraz bardziej Kocham.

W mojej działalności zajmuję się między innymi literaturą regionalną. Jestem z całą mocą przekonana o jej doniosłym znaczeniu dla kształtowania tożsamości mieszkańców i ich

„prywatnych ojczyzn”. Poza odkrywaniem ciekawych ścieżek dotyczących literatury związanej z regionem Raciborza (są tu również postacie ważne na skalę światową i europejską!), z przyjemnością poznaję i promuję to, co dotyczy Zielonej Góry i jej sąsiedztwa. Już od lat redaktorzy rocznika „Filologia Polska”, wydawanego na Uniwersytecie Zielonogórskim, zapraszają mnie do recenzowania utworów prozatorskich wyróżnianych prestiżowym Wawrzynem Lubuskim. Wielkim przełomem była dla mnie lektura „Trylogii wendyjskiej” dwukrotnej laureatki tej nagrody, Zofii Mąkosy. Odebrałam bezcenną lekcję edukacji regionalnej, po której wiele elementów lokalnej kulturowej układanki „wskoczyło” u mnie na właściwe miejsce i sprawiło, że poczułam się jeszcze bardziej związana z Zieloną Górą.

Jakiś czas temu wielkim odkryciem była też dla mnie lektura książki wspomnieniowej, wtedy jeszcze nietłumaczonej na język polski, „All But My Life” Gerdy Weissmann-Klein. Pisałam o niej w „Pro Libris” (nr 2/2013). Zmarła w 2022 r. autorka była bodaj najdłużej żyjącą osobą, która przeszła obóz pracy Gross-Rosen, mieszczący się podczas drugiej wojny światowej na terenie dzisiejszej galerii Focus (dawnej zakłady Polska Wełna). W dramatyczny sposób związana z naszym miastem, stała się wybitną osobowością, całe swoje późniejsze życie poświęcając edukacji na rzecz pokoju. Jest m.in. bohaterką nagrodzonego Oscarem filmu dokumentalnego, odznaczona została przez Baracka Obamę Medalem Wolności. Nie jest jeszcze w pełni doceniona i znana w naszym mieście. Jej postać nauczyła mnie jeszcze pełniej zidentyfikować się z Zieloną Górą, poszerzyć wiedzę o historii miasta i regionu także o te kwestie, o których trudno mówić. Sądzę, że warto sięgnąć do jej inspirującego dorobku zwłaszcza teraz, gdy za naszą wschodnią granicą toczy się trudna wojna, a my w Zielonej Górze przywitaliśmy uchodźców z Ukrainy.

Tak oto zostałam zielonogórzanką, zabieganą – tak jak wszyscy – wokół codziennych spraw, ale też zanurzoną w historii i literaturze. Ciekawą tego, co każdego dnia dzieje się w mieście i związaną z Zieloną Górą na dobre i na złe przede wszystkim za sprawą rodziny i przyjaciół.

Olimpiada satyryków

Na 26 Międzynarodowy Konkurs na Rysunek Satyryczny 311 autorów nadesłało 1038 prac. Nasze stowarzyszenie jest współorganizatorem konkursu.

Konkurs ma blisko 40-letnią tradycję. Zaczął się w Zielonej Górze w 1986 roku, potem przeniósł się na kożuchowski zamek, by powrócić do matecznika. Od 2011 r. obowiązki głównego organizatora wypełnia zielonogórska księżnica im. Norwida. Nasze stowarzyszenie jest jego współorganizatorem i fundatorem nagrody. Każda edycja miała temat przewodni, na przykład: książka, sztuka, telewizja, muzeum, media społecznościowe. W 2024 r. odbywały się letnie igrzyska olimpijskie w Paryżu, dlatego tematem prac była olimpiada.

311 satyryków z 57 krajów nadesłało 1038 rysunków. Komisja oceniająca prace przyznała Grand Prix Constantinowi Sunnerbergowi z Belgii. Laureatami nagród zostali: I – Tošo Borković z Serbii, II – Friedrich Tasser z Włochy i III – Alfredo Lorenzo Martirena Hernandez z Kuby. Nagrodę specjalną ufundowaną przez nasze stowarzyszenie otrzymał Jacek Frąckiewicz – Polska.

Laureatami pozostałych wyróżnień są: Vladimir Kazanovsky i Oleksiy Kustovsky – Ukraina, Marta Lis, Marta Michalik, Robert Mirowski i Magdalena Wosik – Polska. Nagrodę specjalną ufundowaną przez Ryszarda Błażyńskiego otrzymał Tomasz Wołoszyn – Polska.



rys. Constantin Sunnerberg



rys. Jacek Frąckiewicz

Od wiosny do jesieni

26 marca 2024 r. odbyło się coroczne zebranie sprawozdawcze naszego stowarzyszenia. Otworzył je prezes Ryszard Błażyński i on też został wybrany przez obecnych na prowadzącego zebranie. Sprawozdanie z działalności w 2023 r. członkowie otrzymali drogą elektroniczną, mimo to R. Błażyński je streścił. Do stowarzyszenia należą 63 osoby. Na działalność statutową TMZG „W” w 2024 r. zebrało 80 tys. zł. Wydało je m.in. na poprowadzenie trasy historyczno-literackiej „Wzgórze Piastów. Powrót hrabiny”, wykonanie gablot do prezentacji nagrodzonych prac podczas międzynarodowych konkursów na rysunek satyryczny, wydawanie magazynu „Na Winnicy”. Towarzystwo przeprowadziło ogólnopolski konkurs literacki na utwór o tematyce zielonogórskiej. Uhonorowało osoby zasłużone dla miasta laurami Przyjaciela Zielonej Góry i Winiarką. Wydało cztery książki literackie w swojej treści dotyczące Zielonej Góry. Kontynuowało spotkania z cyklu „Rozmowy o Zielonej Górze”. Wśród osób wyróżnionych Odznaką Honorową za Zasługi dla Województwa Lubuskiego są prof. Leszek Jerzak i Izabela Sak. Nagrodę Kulturalną Marszałka Województwa Lubuskiego otrzymał Robert Rudiak. Największą bolączką stowarzyszenia jest brak takiej siedziby, gdzie można byłoby przechowywać dokumenty i wydawnictwa archiwalne TMZG „W”. Obecni na zebraniu udzielili absolutorium ustępującemu zarządowi. Z prośbą o ustąpienie z zarządu zwróciła dr Alina Polak-Woźniak. Na jej miejsce zebrali wybrali Aleksandrę Mrozek.

Kolegium elektorów Uniwersytetu Zielonogórskiego wybrało prof. dr. hab. Wojciecha Strzyżewskiego na rektora tej uczelni w latach 2024-2028. To druga kadencja tego naukowca. W. Strzyżewski jest zielonogórzaninem z urodzenia, absolwentem historii zielonogórskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Jako badacz zajmuje się naukami pomocniczymi historii i dziejami wczesnonowożytnymi XVI-XVIII w. Jest ekspertem w zakresie heraldyki. Był dyrektorem Instytutu Historii, dziekanem Wydziału Humanistycznego i prorektorem UZ.

Diamentowe medale jako wyraz uznania za osiągnięcia mające znaczenie dla miasta Zielona Góra otrzymali: rektor Uniwersytetu Zielonogórskiego prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski i były rektor tej uczelni prof. dr hab. Czesław Osękowski.

Medalem Komisji Edukacji Narodowej została odznaczona prof. dr hab. Małgorzata Mikołajczak z uniwersyteckiego Instytutu Filologii Polskiej. Odznaki Honorowe Ministra Kultury i Dziedzictwa Zasłużony dla Kultury Polskiej otrzymali: Jan Zelek, Roman Czarnecki i Krzysztof Koziółek.

W 2022 r. nasze stowarzyszenie rozpoczęło cykl spotkań z autorami tryptymowej „Historii Zielonej Góry”.

Spotkania odbywały się w Sali Witrażowej Muzeum Ziemi Lubuskiej. W 2023 r. spotkania jako „Rozmowy o Zielonej Górze” zostały przeniesione do Pro Libris Café im. Andrzeja K. Waśkiewicza w gmachu księżnicy Norwida. Były one kontynuowane w 2024 r. Zielonogórzanie rozmawiali między innymi o życiu religijnym, o zagłębiu kabaretowym, o krajo-brazie kulturowym Zielonej Góry w literaturze, o demografii, o kulturze amatorskiej, o ważnych osobach, które gościły w naszym mieście.

Muzeum Ziemi Lubuskiej, Towarzystwo Przyjaciół MZL i nasze stowarzyszenie wydało pracę dr Izabeli Korniluk „Hegemonia Zastalu”. To dzieje największego zakładu w mieście w latach 1945-1991, uzupełnione o wspomnienia 16 osób związanych z przedsiębiorstwem. Więcej na str. 29.

Warszawskie wydawnictwo Czarna Owca wydało szóstą powieść Przemysława Piotrowskiego „Smolarz” z cyklu z komisarzem Igozem Brudnym. Warszawska burgerownia podaje burgera Brudny, Smolarz. Autor cyklu twierdzi, że „Jest megal!”. Ta sama oficyna wydała siódmą powieść zielonogórzanina „Anubis” z tego cyklu. Identycznie jak poprzednia książka ukazała się na papierze, jako ebook i audiobook, który czyta Filip Kosior.

Poznańskie wydawnictwo Labreto, imprint Legimi, wydało dziesiątą powieść Aldony Reich „Akt trzeci” najpierw w formie e-booka, potem jako audiobook w interpretacji Klementyny Umer, i na końcu wersję papierową.

Swedzkie wydawnictwo Lind&Co wydało jako ebooki i audiobooki powieści Krzysztofa Koziółka z cyklu „Furia”, wcześniej wydane na papierze przez warszawskie wydawnictwo Akurat. „Górę Synaj” (z 2017 r.), „Wzgórze Piastów” (2018) i „Nad Śnieżnymi Kotłami” (2019) czyta Maciej Kowalik. Zielonogórska Manufaktura Tekstów opublikowała powieść tego autora „Jej ostatnia prośba” w wersji papierowej. Więcej na str. 28.

Wydawnictwo Saga Egmont opublikowało w formie e-booka zbiór opowiadań Alfreda Siateckiego „Brawo, zwierczak!” dla dzieci w wieku przedszkolnym.

Dwa cykle obrazów wykonanych techniką akrylową na płótnie przez Izabelę Sak najpierw pokazało Muzeum Ziemi Międzyrzeckiej im. Alfa Kowalskiego, potem jeden cykl Muzeum Puszczy Drauskiej i Noteckiej im. Franciszka Grasia w Drezdenku i filia Zielonogórskiego Ośrodka Kultury w Starym Kisielinie. Wystawa miała tytuł „Koronkowe szepty”. Obrazy zielonogórzanki oglądali goście Galerii Zamku Hornow w Niemczech na wystawie „Kolory Europy”. Inne dzieła artystki na str. 39.

1 maja zmarł Mirosław Rataj (1950-2024). W latach 1985-2002 był redaktorem naczelnym „Gazety Lubuskiej” i prezesem wydawnictwa Lubpress, do 2008 r. kierował oddziałem Mediów Regionalnych i Orkli Press Polska. Po odejściu z wydawnictwa prasowych prowadził kancelarię radcy prawnego. W 2023 r. był współzałożycielem naszego stowarzyszenia i wiceprezesem pierwszego zarządu. Ostatnio pracował w komisji rewizyjnej.

29 sierpnia zmarł prof. dr hab. Hieronim Szczegóła, historyk, współtwórca zielonogórskiego środowiska naukowego, były prorektor Wyższej Szkoły Inżynierskiej i rektor Wyższej Szkoły Nauczycielskiej, potem Wyższej Szkoły Pedagogicznej. W 2021 r. jako pierwszy został laureatem nagrody Przyjaciół Zielonej Góry w kategorii indywidualnej, przyznawanej przez nasze stowarzyszenie.

Województwie lubuskim jest około 3 tys. organizacji pożytku publicznego. 156 stowarzyszeń i fundacji należy do Związku Lubuskich Organizacji Pozarządowych (przed pandemią było ok. 350). Najwięcej organizacji członkowskich ma siedzibę w Zielonej Górze – 40, wśród nich i nasze stowarzyszenie. 111 organizacji otrzymuje na swoje konta 1,5 proc. podatku dochodowego od osób fizycznych, wśród nich jest nasze stowarzyszenie. Za 2022 r. organizacje zrzeszone w ZLOP dostały 377 tys. zł z podatku dochodowego, nasze stowarzyszenie 338 zł. Reprezentantem TMZG „W” jest wiceprezes Alfred Siatecki.

Nowe władze Zielonej Góry – prezydent Marcin Pabierowski i jego zastępca Marek Kamiński – spotkały się z członkami zarządu naszego stowarzyszenia. Prezes Ryszard Błażyński przedstawił przedsięwzięcia i problemy, z którymi od powstania boryka się organizacja. Wyglądało na to, że władarzy miasta interesuje praca naszego stowarzyszenia, ale nie złożyli żadnych zapewnień.

Pierwszym członkiem wspierającym nasze stowarzyszenie został Uniwersytet Zielonogórski.

„Od pomocnika traktorzysty do artysty fotografa”

Przejrzałem ostatni numer „Na Winnicy” (nr 15, 2024, str. 26 – red.) i znalazłem nieścisłość dotyczącą pochówku śp. Czesława Łuniewicza. Podejrzewam, że jest to skutek lektury albumu zdjęć wydanego przez Archiwum Państwowe. Tam jest informacja o pochowaniu p. Łuniewicza w Alei Zasłużonych. Byłem na pogrzebie i wiem, że tak nie było. Potwierdza to też wyszukiwarka grobów.

Przemek Karwowski

Spod pędzla Izabeli Sak



„Czy to ja”, 2021



„Gabinet nr 207”, 2021



„Bawialnia Amesa”, 2022



„Wakacyjny luz”, 2020



„Świat Malcolma”, 2022



„Góra surfera”, 2021



Jako ambasador na powiat świebodziński fundacja Pomoc i Nadzieja uczestniczyła w realizacji projektu „Architekci kultury społecznej – Centrum Wspierania Inicjatyw Lokalnych”, przeprowadzonego przez fundację Lubuska Inicjatywa Pozarządowa



Spotkanie wigilijne świebodzińskich seniorów w hotelu Sen odbyło się dzięki wsparciu programu Akcja Kolacja prowadzonego przez Fundację Biedronki

fol. Archiwum

Ta fundacja przychodzi z pomocą i daje nadzieję

Za pośrednictwem fundacji Pomoc i Nadzieja ostatniego dnia lipca 2024 r. 160 mieszkańców gminy Łągów, zamieszkałej przez 5 tys. osób, dostało paczki, w których było mleko, mąka, olej, ser żółty, płatki owsiane, pasztet, pasta do zębów.

Fundacja Pomoc i Nadzieja zajmuje pokój przy ul. 1 Maja w Świebodzinie. Za dwa lata, a może i wcześniej przenie się do budynku przy Łąkowej, gdzie będzie sala warsztatowa i szkoleniowa, pomieszczenie dla psychologa i terapeuty, składnica sprzętu do rehabilitacji, biuro, magazyn żywnościowy.

– Zajęcia prowadzimy w różnych punktach miasta. Zresztą w podobnej sytuacji są i inne organizacje społeczne w Świebodzinie – twierdzi Beata Zatylna, prezeska fundacji. – Z pomieszczeń w tym nowym lokalu będą mogły korzystać właśnie i te inne organizacje. To ma być centrum trzeciego sektora.

Pomoc i Nadzieja powstała w 2015 roku po tym, jak rozeszły się drogi B. Zatylny z koleżanką, z którą prowadziła inną organizację. Nowa fundacja miała tylko zająć się rozprowadzaniem darów unijnych wśród najuboższych mieszkańców Świebodzina i ościennych wiosek. Z biegiem miesięcy okazywało się, że ci, którzy przychodzą po żywność, chcieliby porozmawiać, mieć gdzie się spotkać, zasięgnąć porady, pomoc jeszcze bardziej potrzebującym.

Najwięcej miejsca w pracy Pomocy i Nadziei zajmują wszelkie formy wsparcia społecznego, a szczególnie

te związane z rozprowadzaniem żywności. W latach 2014-2020 za jej pośrednictwem 80 ton jabłek dotarło między innymi do domów pomocy społecznej w Glińsku, Toporowie i Jordanowie. W Świebodzinie powstała jadłodzielnia, będzie jadłodajnia. Dzieci z rodzin ubogich i seniorzy otrzymują paczki. Co roku przed Wielkanocą i Bożym Narodzeniem odbywają się spotkania przy stole, na którym są tradycyjne potrawy. Gdy rozpoczęła się wojna w Ukrainie, do Świebodzina przyjechało sporo uchodźców. Fundacja była wśród pierwszych, którzy wyciągnęli do nich pomocne ręce. Co ważne, to co trafia do uboższych, pochodzi nie tylko z darów unijnych i zasobów państwowych, lecz i od zamożniejszych świebodzińców i miejscowych firm. Za jej pośrednictwem Fundacja Biedronki rozprowadza karty przedpłatowe wśród seniorów regionu lubuskiego. To oznacza, że w 2024 r. 300 Lubuszan każdego miesiąca mogło zrobić zakupy za 185 zł w sklepach sieci Biedronka.

Fundacja włączyła się do akcji Zaczyciani, której celem jest utworzenie biblioteki w zielonogórskim Centrum Matki i Dziecka. Zebrała maskotki i przekazała je do Centrum Leczenia

Dzieci i Młodzieży w Zaborze. Podczas warsztatów Tajemniczy Ogród uczy dzieci, jak sadzić rośliny.

Nie byłoby osiągnięć, gdyby nie wolontariusze, szczególnie z Powiatowego Zespołu Szkół. Prezeska Zatylna twierdzi, że ogromną pomoc fundacja otrzymuje od fundacji Razem i mężczyzn korzystających z noclegowni. Taki przykład. Fundacja otrzymała przydział środków spożywczych z Banku Żywności w Gorzowie. Załadunkiem ich na samochód i przewiezieniem do Świebodzina zajęli się wolontariusze z fundacji Razem. Korzystający z noclegowni pomagają przy rozładunku materiałów potrzebnych do remontu siedziby fundacji przy Łąkowej. Wśród wolontariuszy jest współpracująca z fundacją kancelaria adwokacka Sylwestra Babicza, księża z Kościoła katolickiego i zielonoświątkowego oraz zwykli mieszkańcy Świebodzina.

Pieniądze, których zawsze brakuje, pochodzą ze zbiórek i udziału w programach ogłaszanych przez urzędy: miejski w Świebodzinie, gminny w Łągowie, powiatowy i marszałkowski.

DJ